



N^o 30.

Prenumerata w Warszawie
rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 22 lipca 1876 r.

Prenumerata
na prowincyi i w cesarstwie
kwartalnie rs. 3.

Tom II.

Treść numeru. Jabłoń (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Imogena (z drzeworytem). — Przesady, komedia w pięciu aktach (dalszy ciąg). — Przegląd polityczny. — Z wystawy powszechnej w Filadelfii (3 drzeworyty). — Cyboryum w kościele W. W. Świętych w Warszawie. — Franciszek Palacki (dokończenie). — Dawid Pilchowski. — Na rozdrożu, powieść (dalszy ciąg). — W górach (wiersz). — Ludwika królowa pruska (dokończenie). — Opozycja w Rzymie za cesarów. — Instykt i inteligencya zwierząt. — Pamiętnik młodej mężatki, powieść pani Craven (dalszy ciąg).

Jabłoń.

Majętność ta, położona w dzisiejszym powiecie

wiąszezny. Pochodził on z hetmańskiego szczepu Potockich, z tak zwaną linią łańcuckiej, mniej bogatą od dziedziców Tulczyzna, a zasłubiwszy Annę, córkę ks. Aleksandra Sapięhy, rozwiedzioną z ks. Hieronimem Sanguszką, objął po

jął miejsce (a), hrabina zaś przebywała w Lubelskiem, w znaną z malowniczego położenia i pięknych ogrodów majątności Celejowie, graniczącej z Puławami. Pani ta, słynąca niegdyś w wielkim świecie z wdzięków i rozumu, złączona przyja-



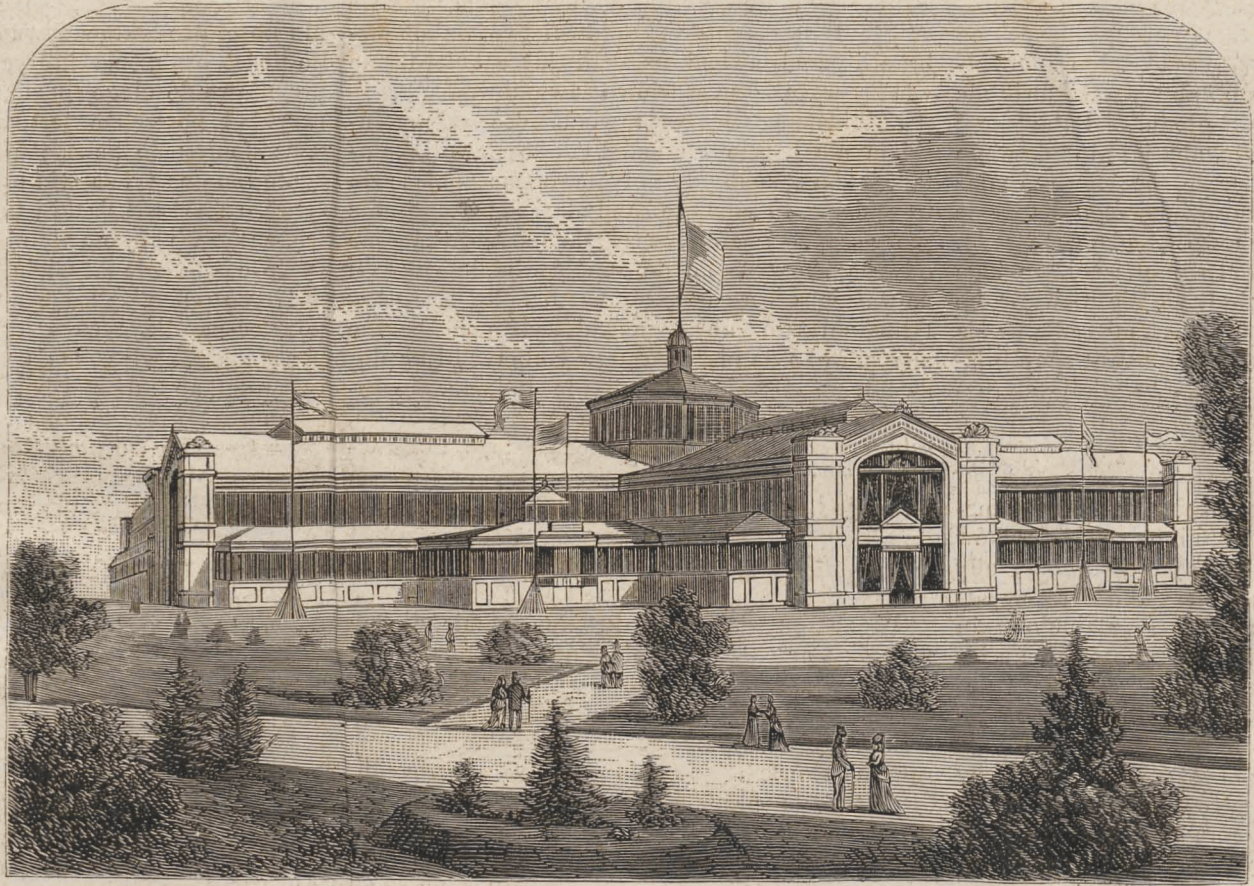
Pałac i część parku w Jabłoni. Rysował na miejscu Józef Łoski.

175

radzyńskim, niegdyś dziedziczą możnej rodziny Firlejów, została w końcu zeszłego stulecia w posiadaniu Seweryna Potockiego, b. krajczego koronnego, później senatora cesarstwa, który był bratem Jana, sławnego podróżnika i badacza Sło-

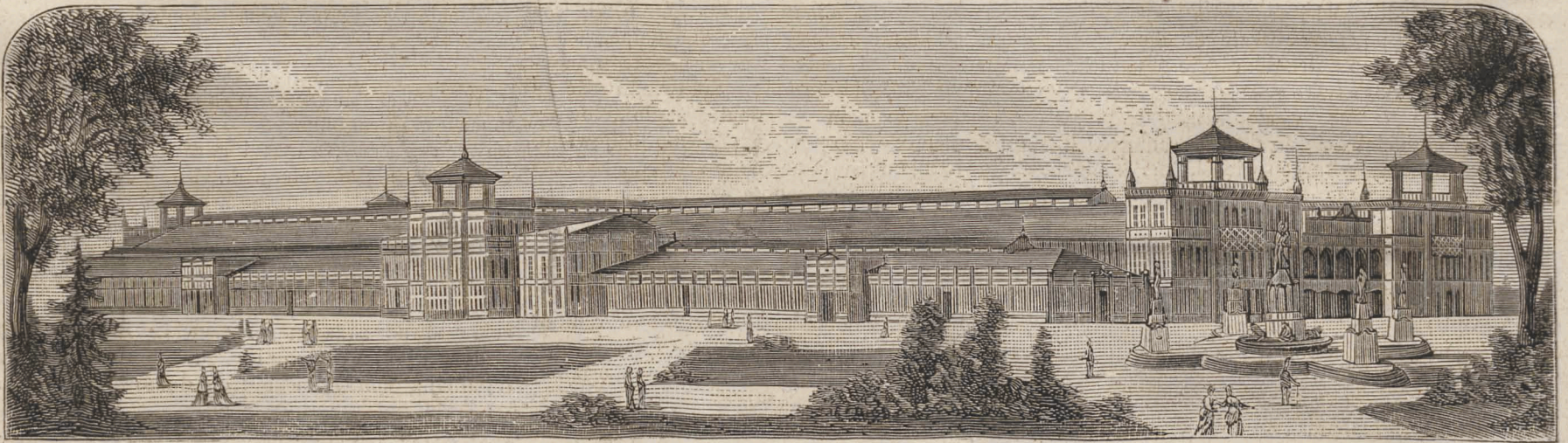
niej obszerne dobra w Lubelskiem i Podlaskiem. Sewerynowie Potocy w późniejszych latach życia rozłączyli się: hrabia zamieszkał w Petersburgu, gdzie syn jego Leon kształcił się w zawodzie dyplomatycznym, w którym później znakomite za-

(a) Letnią rezydencją hr. Seweryna Potockiego była Sewerynowka na Podolu; do niego także należała piękna posiadłość w Krymie, Liwadia, którą hr. Leon Potocki, ambasador w Neapolu, sprzedał rządowi. W miejscu tém wznosi się dziś wspaniała rezydencja cesarska.



Dom rządowy.

176



Pawilon maszyn.

177



Pawilon rolniczy.

178



Imogena. Kopia (brazu Ludwiki Starr.

**Cyboryum w kościele
W. W. Świętych w Warszawie.**

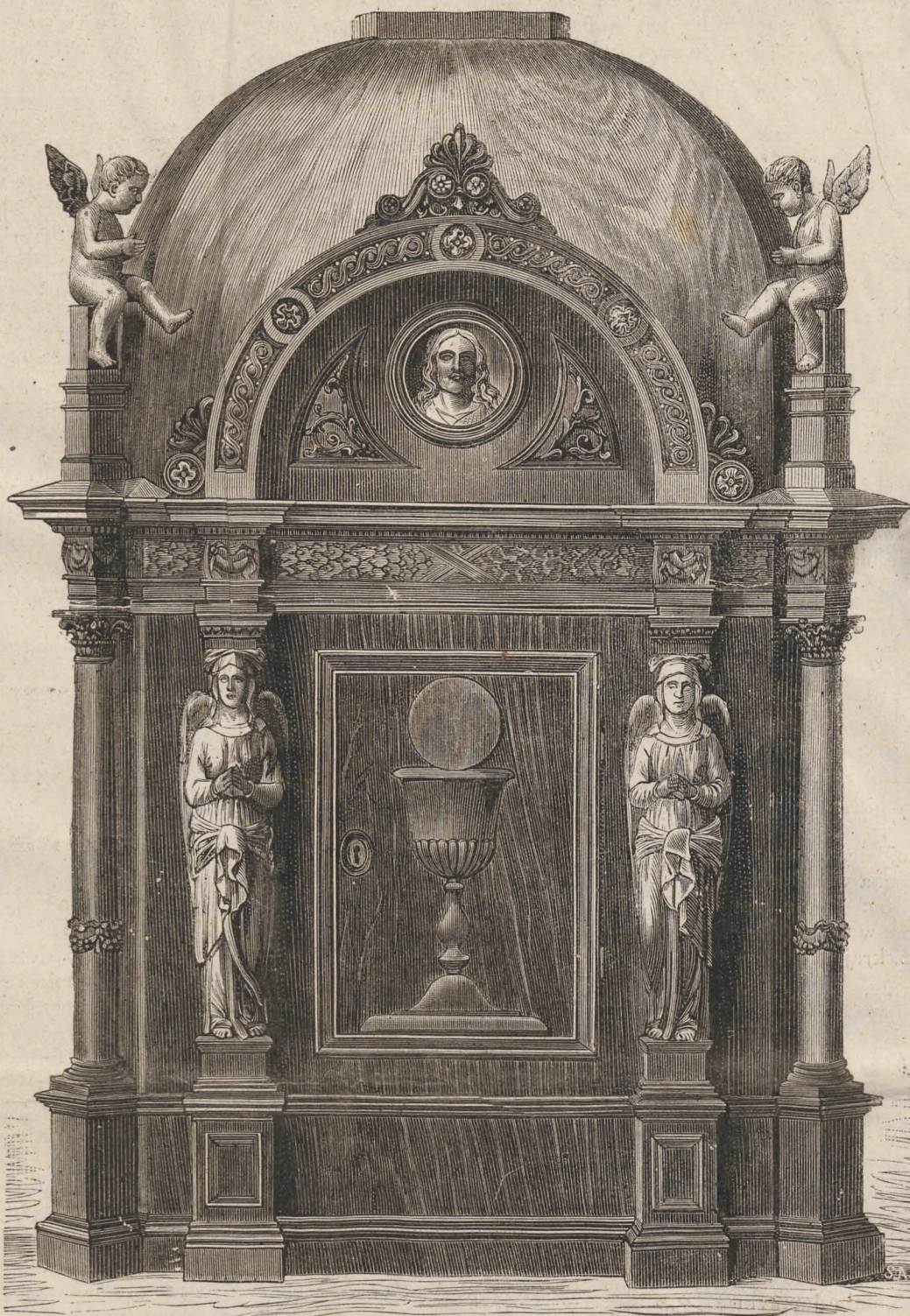
Jeszcze w r. 1857 Gabryela z hrabiów Gutakowskich hrabina Zabiellowa zaniósła do tronu prośbę o pozwolenie wystawienia kościoła na podarowanym przez siebie placu na Grzybowie; po uzyskaniu zaś Najwyższego zezwolenia, ówczesny książę namiestnik poruczył w r. 1860 wystawienie tej świątyni osobnemu komitetowi.

Plan wzniesić się mającej budowy wykonał ś. p. Henryk Markoni i pod jego też kierunkiem rozpoczęto w r. 1861 roboty, które po przerwie kilkoletniej, wynikłej z braku funduszy, podjęte znów zostały w r. 1874 i prowadzone są odtąd ciągle, pod kierunkiem budowniczego Z. Książki.

W roku 1874 ś. p. Paulina Dąbrowska ofiarowała się własnym kosztem wykończyć wewnątrz kaplicę i zakrystią górnego kościoła, a roboty w tym celu obecnie tak daleko posunięto, że zakrystya gotowa jest w zupełności, kaplica zaś wykończoną zostanie na 1 września r. b.

Dzięki szczodremu nakładowi fundatorki, wewnątrz zakrystyi wraz z utensyliami przedstawia się imponująco i bogato zarazem, i śmiało rzec można, że podobnej zakrystyi nie posiada żaden kościół w kraju.

Kaplica, oświetlona z góry, oddzielona od kościoła nader kunsztownie wykutą kratą, z ołtarzem marmurowym, w którym pomieszczono obraz Gersona Nawiedzenie N. Maryi Panny, z ozdobną posadzką marmurową i osobnym chórem, na którym stać będzie organek, przez zmarłą funda-



Cyboryum z drzewa orzechowego, wykonane przez pana Józefa Górnickiego, dla kościoła W. W. Świętych w Warszawie.

torke z Poznania sprowadzony, po zupełnym wykończeniu, przedstawi także całość harmonijną i artystycznie wykonaną.

Wyobrażone na rycinie naszej cyboryum wyrzeźbił z polecenia ś. p. Dąbrowskiej p. Józef Górnicki, jedyny u nas snycerz-artysta, i z pracy tej w ogólności wywiązał się bardzo sumiennie. Małe usterki w draperyach aniołów podtrzymujących arkadę frontową, oraz w ornamentacji gzymsów, przypisać należy brakowi rutyny, sztuka bowiem rzeźbienia w drzewie szczupłe bardzo i rzadkie dziś u nas znajduje zastosowanie. Całość jednak przyjemnie robi wrażenie; po ustawieniu zaś na miejscu, na tle czerwonych i szarych marmurów, oświetlona mocnym światłem padającym z góry, należyty niewątpliwie sprawi efekt.

O ile słyszeliśmy, p. Górnickiemu powierzone także zostanie do wykonania cyboryum nieporównanie większych rozmiarów, do ołtarza boczego w ramionach krzyża. Praca ta, podobnie z drzewa orzechowego, pozwoli artyście na szerszą skalę zdolność swą rozwinąć, i szczerze pragniemy, aby stać się mogła pomnikiem, świadczącym chlubnie o stanie społecznego snycerstwa krajowego.

FRANCISZEK PALACKI.

(Dokończenie).

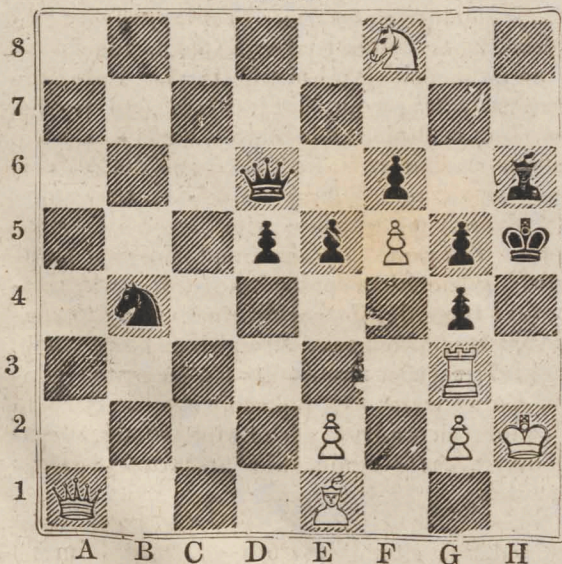
Wśród tych i wielu innych prac naukowych i literackich, upływał czas Palackiemu, gdy nastąpił rok 1848 i niespodziewane wypadki powołały go na obce mu dotąd pole działalności politycznej. Rewolucya

SZACHY.

ZADANIE XXVII.

Białe zaczynają i dają mata za 4 posunięciem.

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego nr. 26.

Białe.

Czarne.

1) E6—F7

NAKLAD JÓZEFA UNGRA.

DZIEŁA
Karola Szajnochy.

TOM III.

SZKICE HISTORYCZNE.

Całe wydanie obejmować będzie tomów 10, każdy tom w formacie i na papierze podobnym do dzieł Kaczkowskiego.

WARUNKI PRENUMERATY:

Dla prenumeratorów Tygodnika ilustrowanego.

w Warszawie za 10 tomów . . . rs. 10.

w cesarstwie i na prowincyi . . . „ 11.

W ozdobnej oprawie zagranicznej en relief:

w Warszawie za 10 tomów . . . rs. 14

w cesarstwie i na prowincyi . . . „ 16

Dla nieprenumeratorów Tygodnika ilustrowanego cena podwaja się.

Uwaga. Prenumerata na dzieła Karola Szajnochy w cesarstwie i na prowincyi przyjmuje się najmniej na 2 tomy.

Adres: Józef Unger, Nowolipki, nr 2406 (nowy 3).

REBUS.

181



Znaczenie rebusa umieszczonego w nr. 28.
Gonią za fortuną ludzie różnemi drogami.

lutowa w Paryżu wstrząsnęła całą Europą, w Austrii objawił się ruch, który i w Pradze się odezwał. Znakomitości literackie zgromadzały się na narady, w jaki sposób urządzić kraj, przy przemianie formy rządu, spowodowanej ruchem marcowym w Wiedniu.

Z samego początku Palacki, jako pełnomocnik (*jednatel*) Muzeum czeskiego, nie brał tu udziału, by nie skompromitować czasem instytucji; ale odsunięcie się to było niemożliwem i Palackiego wezwano do narad komitetu św. Wacława, w których energicznie podnosił zasadę, iż spodziewane swobody winny być udziałem wszystkich mieszkańców, bez różnicy stanów i narodowości, a więc nawet i Żydzi w gminie praskiej mają mieć swych przedstawicieli. Ruch przybrał poważne rozmiary po ogłoszeniu konstytucji 15 marca; w Pradze Czesi wzięli górę i inicjatywę i wtedy pokazało się, jak owocną była tyloletnia praca, w cichości i na bardzo ograniczonym polu prowadzona. Niemcy z osłupieniem patrzyli na to zjawisko i stracili ducha. Palacki z Szafarzykiem wezwali na zebranie literatów obu narodowości i na posiedzeniu 21 marca sformułowano zasadę równouprawnienia Czechów i Niemców, na co podpisali się przedstawiciele tak jednych jak i drugich, w liczbie 52 osób.

Tymczasem do Frankfurtu zwoływano parlament niemiecki, z Wiednia wydano hasło „ścisłego połączenia się z Niemcami“ i Czechów, a przede wszystkim Palackiego, wezwano do wzięcia udziału w obradach komitetu 50-ciu nad losami wielkiej ojczyzny germańskiej. Na wezwanie to Palacki odpowiedział listem (z 11 kwietnia 1848 r.), w którym otwarcie mówi, że w obradach frankfurckich uczestniczyć nie może, gdyż nie jest bynajmniej Niemcem, tylko Czechem, że wprawdzie monarchowie czescy brali udział w związku ksiąząt niemieckich, ale naród nigdy się do narodu niemieckiego nie liczył. Z drugiej strony, mówił, i to wstrzymuje go od udziału w parlamencie frankfurckim, iż ten występuje przeciwko samoistności państwa rakuzkiego, która w interesie Europy, a nawet samej ludzkości, jest niezbędną i powinna opierać się na zupełnym równouprawnieniu wszystkich narodowości, pod jego berłem zjednoczonych. W liście tym Palacki postawił zasadę odrębności narodowej Czechów i federacyjnego ustroju państwa austriackiego. Odpowiedź jego obudziła naturalnie oburzenie we Frankfurcie, ale entuzjazm w kraju, a nadto wywarła nie mały wpływ w samym Wiedniu; gdzie rozeszła się w mnóstwie egzemplarzy. Pod jej wrażeniem opinia publiczna wiedeńska chwiać się poczęła, a ministerstwo wzięło pochop do deklaracji (z dnia 21 kwietnia), odgradzającej Austrię od przyszłych postanowień parlamentu frankfurckiego.

Złość zaciętych pan-Germanów przeciwko Palackiemu nie miała granic, ale rząd zwrócił baczną nań uwagę i hrabia Stadion, burgrabia krajowy, powołał go do „komitetu narodowego“, mającego przygotować zwołanie sejmiku. Niezadługo ministerstwo Pillersdorfa zaproponowało mu tekę ministerstwa oświaty; Palacki jednak, po otwartej z prezesem ministrów rozmowie, poznawszy że zasady rządu całkiem są z jego własnymi niezgodne, przyjęcia teki odmówił. Odmowa była poniekąd na rękę Pillersdorfovi, gdyż wieść o powołaniu Słowianina do gabinetu wzburzyła Wiedeńczyków, a wichrzyciele brali ztąd pochop do napaści na Pillersdorfa i na rząd cały. Podobno jakiś wściekły rzeźnik wiedeński podejmował się nawet uprzętną Palackiego; ten jednak usunięciem się z Wiednia odjął burzycielom wszelki powód do krzyków.

Wróciwszy do Pragi, Palacki został członkiem rządu tymczasowego czeskiego, który Leon hr. Thun, za zgodą głównodowodzącego księcia Windischgracza, uorganizował.

Tymczasem, jako przeciwwstawienie frankfurckiemu parlamentowi, zwołano, za inicjatywą Poznańczyków, zjazd słowiański do Pragi i prezesem (starostą) jego obrano Palackiego. Zjazd był dla Słowian również bezowocny, jak dla Niemców ich parlament, ale wobec żarłoczności i zabor-

czości, godnej Attyli, jaką objawili doktrynerzy i liberaliści we Frankfurcie zebrani, świetnie odbijają zasady równouprawnienia, sprawiedliwości i wzajemnych ustępstw, przez zjazd słowiański na każdym kroku wypowiedane. Zjazdowi i całemu ruchowi praskiemu położyło koniec powstanie uliczne w dzień Zielonych świątek (12 czerwca), wywołane niewątpliwie w celu gwałtownego przecięcia ruchu, niemilego zarówno konserwatystom ze szkoły Metternicha, jak i rewolucjonistom wiedeńskim i sprzymierzeńcom tychże, Madziarom. Palacki uważał to powstanie za wielkie nieszczęście dla Czechów, ono bowiem nie dozwoliło zwołać przygotowywanego już sejmiku czeskiego, który mógłby być sformułować na drodze legalnej życzenia kraju, a rząd byłby mu wówczas zapewne okazał większą powolność, niż sejmowi węgierskiemu. Palacki był przekonany, że gdyby nie smutny ów wybuch, już w r. 1848 naród byłby zyskał te prawa, o jakie się dotąd nadaremnie dobija, i tym sposobem historia tak Czech jak i całej Austrii w całkiem odmiennym poszłaby kierunku (1).

Po sflumieniu zaburzenia siłą oręża, rozpedzono kongres słowiański, gwardya narodową i rząd tymczasowy. Nastąpiły rządy reakcji wojskowej i sąd wojenny na Hradecznynie. Chciano przedstawić wybuch Zielonych świątek jako skutek „szérokogo rozgałęzionego spisku słowiańskiego“, mającego na celu przetworzenie Austrii na państwo słowiańskie i do tego spisku mieszano i Palackiego, niby jednego z głównych działaczy. Była nawet przed sądem wojennym denuncyacja tego rodzaju, ale sąd ów nie śmiał ścisnąć Palackiego, który rzecz tę uważał za sprawkę Madziarów i im też pewną rolę w wywołaniu rozruchów przypisuje (2).

We wszystkich sprawach politycznych Palacki nie przestawał odtąd odgrywać wydatnej roli. Wybrano go wkrótce do rady państwa w Wiedniu, gdzie, jako członek podkomisyi konstytucyjnej, zajmował się ułożeniem projektu ustawy dla państwa austriackiego, które to zadanie wykonywał w duchu *federacyjnym*, według poglądu w liście do Frankfurtu wynurzonego.

Tymczasem 6 października wybuchła w Wiedniu rewolucja; motłoch stoliczny otoczył pałac sejmowy, wygrażał posłom czeskim, zwłaszcza Palackiemu, Riegerowi i Strobachowi, naówczas prezesowi Rady; posłowie więc owi, a za nimi i inni, podobnie myślący, opuścili Wiedeń, pozostawiając miasto i Radę swemu losowi. Rewolucją wiedeńską przytłumiono siłą oręża, a tymczasem posłowie czescy starali się u dworu, który szukał schronienia w Olomuncu, o prowadzenie obrad ciała prawodawczego w dalszym ciągu. Z ich to porady zwołano na dzień 22 listopada sejm państwowy nie do stolicy, gdzie panowało prawo wojenne i stan oblężenia, ale do miasta Kromieżyrza na Morawie. Sejm rozpoczął swoje prace, a tymczasem cesarz Ferdynand złożył koronę, na rzecz synowca swego, Franciszka Józefa.

W Kromieżyrze pracowano dalej nad ułożeniem ustawy konstytucyjnej, i Palacki z początku pracę tę głównie prowadził; wkrótce jednak w komitecie konstytucyjnym wzięli górę centraliści i projekt w tym duchu przerabiał poczęli. Palacki opierał się mocno ich dążeniom, aż wreszcie, znudzony sporami bez końca i bez rezultatu, z komitetu wystąpił, aby zasad swych bronić na pełnych zebraniach (3) i już w tym duchu wniósł 23 lutego 1849 interpelację, gdy 4 marca Franciszek Józef sejm rozwiązał i nową ustawę, przez gabinet ułożoną, ogłosił.

Po zwycięztwach w Węgrzech i Lombardyi, porzucono wprowadzenie ustawy w życie i nastąpiła reakcja, w duchu absolutyzmu i biurokracji. Palacki czuł się w obowiązku publicznie wyłożyć ideę, która nim w pracach parlamentarnych kierowała, i w końcu r. 1849 wydrukował w dzienniku „Narodni Noviny“, przez Karola Hawliczka wydawanym, artykuł p. t.: „Centralizacja i rów-

nouprawnienie narodowe w Austrii.“ Artykuł ten zrobił takie wrażenie, iż wkrótce dziennik zamknięto, a autorowi zagrożono pocięciem więzieniem, jeśli dalej w tym duchu postępować będzie.

Od tej chwili Palacki aż do r. 1861 przestał zajmować się polityką; wszelako polityca baczna nań zwracała oko i dyrektor jej, Sacher-Masoch, ojciec głośnego dziś romansopisarza, przy wyborach w Muzeum r. 1852 taki wywarł nacisk, iż zasłużonego historyka do komitetu zarządzającego nie wybrano, co ten boleśnie bardzo uczuł.

Przez cały ciąg panowania reakcji za ministerstwa Bacha Palacki oddany był wyłącznie pracom naukowym, a głównie swojej Historii narodu czeskiego. Dziesięć lat przeszło trwał okres bezczynności politycznej, w którym życie narodowe wróciło do dawnego koryta, do pracy organicznej, pracy, co miała wkrótce wydać dziwne, niespodziewane owoce.

W r. 1860 w październiku, za ministerstwa Gołuchowskiego, cesarz Franciszek Józef wydał patent, przyobiecujący nowe urządzenie monarchii, mające odpowiadać historycznym prawom pojedynczych krajów, równouprawnieniu wszystkich narodowości, a zarazem ich połączeniu w jedną nierozdzielalną całość. Dyplom październikowy zaręczał samorząd każdej prowincyi. Wykonanie dyplomu zlecono ministerstwu Schmerlinga, które starało się przeprowadzić je w duchu niemieckim, centralistycznym, ścieśniając zakres działalności sejmów krajowych, a nadając przeważne znaczenie ogólnej Radzie państwa, dla całej monarchii w Wiedniu ustanowionej. Jak wiadomo, Madziarowie stawili tej radzie opozycją i postanowili do niej nie wchodzić. Podobnie chcieli z początku uczynić i Czesi, lecz pod wpływem arystokracji dali się do wysłania posłów nakłonić. W całej tej akcji widziemy Palackiego, odgrywającego ważną, naczelną rolę. Opierając się na zasadzie, że dla sprawy narodowej potrzeba użyć wszystkich czynników, Palacki, Rieger i wszyscy ich poplecznicy weszli w sojusz ze szlachtą, tak zwaną historyczną, to jest z potomkami starodawnych rodów, gdyż ci, wskutek Szmerlingowskiej ustawy wyborczej, wielkie mieli w sejmie znaczenie. W tym stosunku do arystokracji, a zarazem i do duchowieństwa, leży różnica partii Palackiego, tak zwanych Staroczechów, od stronnictwa młodoczeskiego, które, kierując się zasadami liberalnymi, arystokracji nie dowierzało i pragnęło kroczyć, nie oglądając się wcale na panów. Pierwotnie spór stronnicy istniał jedynie na polu piśmienniczym. Wskutek różnicy poglądów Palacki, Rieger i Brauner ze zwolennikami swymi oddzielili się od gazety „Narodni Listy“, która została w rękach młodoczechów, Sładkowskiego i Gregrow, i założyli nowy organ „Narod“, ale ten po kilku latach upadł. W gazecie „Narod“ Palacki między innymi drukował ważne artykuły o centralizmie, dualizmie i federalizmie, które potem wydał w osobnej książeczce, po czesku i po niemiecku, p. t. „Idea państwa rakuzkiego“ (1865 r.) W sprawach atoli politycznych, w akcji zewnętrznej niejedności nie było. Młodoczesi, protestując przeciwko wyborom do Rady państwa, poddawali się wyrokowi większości i szli ręką w rękę z innymi posłami, którym Palacki wraz ze swym zięciem Riegerem przywozili. Za ich przywództwem posłowie czescy brali udział w sejmie, a zarazem w Radzie państwa, gdzie w połączeniu z Galicyanami i Słoweńcami silny opór Niemcom stawiali. Wyborniej karności swej i poświęceniu stronnicych względów dla dobra ogółu Czesi zawdzięczali, że lubo aż do 1865 r., dzięki fatalnej ustawie wyborczej, nawet na sejmie krajowym byli w mniejszości, niejedno korzystne dla swego narodu postanowienie przeprowadzić zdołali.

W r. 1867 zmienił się charakter konstytucji austriackiej; żądaniom Węgrów uczyniono zadość i cesarstwo rozpadło się na dwie połowy, Cis i Translejtanią. System *dualizmu* zapanował, co już przedtem Palacki w swjej książce „Idea państwa rakuzkiego“ przepowiadał. Czesi znaleźli się oddani prawie na pastwę Niemcom; postano-

(1) Testament polityczny Palackiego, str. 9.

(2) Tamże, str. 13.

(3) Tamże, str. 16.

wili więc do Rady państwa nie wstępować. Sejm rozwiązano, agitacja rządowa przy nowych wyborach dała większość sejmową Niemcom i wtedy to posłowie czescy z energicznym protestem sejm opuścili. W następnym roku uczynili to samo, podając głośną deklarację, i w r. 1869 bez Czechów toczyły się obrady.

Tymczasem mianowanie Potockiego prezesem ministrów w r. 1870 zrobiło Czechom nadzieję, iż prawa ich i żądania przez koronę przyjęte zostaną, a nadzieja ta jeszcze więcej miała widoków urzeczywistnienia, gdy w następnym roku powstało stanowczo federalistowskie ministerstwo Hohenwarta. I za Potockiego i za Hohenwarta posłowie czescy zasiadali w sejmie. Hohenwart upadł, a z nim nadzieje Czechów, i znowu wybory do sejmu, z łaski silnej agitacji rządowej, na korzyść Niemców wypadły. W partii czeskiej objawiło się silne wahanie, czy wejść do sejmu, czy też nie. Staroczesi stanowczo byli przeciwko wejściu, młodoczesi przeciwnie utrzymywali zdanie. W listopadzie r. 1873 w klubie poselskim żywe były debaty; staroczesi pociągnięci zostali powagą Palackiego i Riegera i nastąpiło rozdwojenie. Staroczesi postanowili nie wchodzić dalej do sejmu, młodoczesi, objawiający, że w razie powtórnego wyboru, zajmą swoje krzesła, mandaty swoje w ręce wyborców złożyli.

Wia doma jest dwukrotna porażka tego stronictwa i dalsze prowadzenie polityki abstynencyi, polityki biernego oporu. Naród oświadczył się za stronictwem staroczeskim i trzeba wyznać, że jednym z głównych powodów tego było ślepe zaufanie w tyloletnich przywódcach swoich, w Palackim i Riegerze.

Lubo publiczność nasza przywykła do potępienia stronictwa młodoczeskiego, na wiarę korespondentów naszych gazet, którzy bywają zwykle echem staroczeskiej partii, zapominając, że obowiązkiem ich jest stanąć na bezstronnym stanowisku, z tém wszystkiém, zdaniem naszym, stronictwo młodoczeskie na bezwarunkowe potępienie bynajmniej nie zasługuje. Kto ma rzeczywiście słuszną, to naprawdę dopiero późna potomność rozstrzygnie; ale wydaje nam się, iż polityczne bezrobocie, popierane przez staroczesków, dobrych skutków mieć nie może. Sejm, z samych Niemców złożony (bo młodoczesków dostało się do niego zaledwie kilku) obraduje i uchwała postanowienia bez przerwy, tém śmieliej, iż mu nie staje na zawadzie, a postanowienia te na korzyść Czechów wypaść nie mogą. Nieczynność parlamentarna może potrwać długo i nikt granic jej przewidzieć nie zdoła. Że wyborcy, z bardzo małym wyjątkiem, za staroczeskami się oświadczyli, właściwie niczego to nie dowodzi; prawo wyborcze daje przewagę żywiołom konserwatywnym i wybory nie są bynajmniej szczerym życzeń ludności wyrazem. Zaciekłość stronictwa staroczeskiej publicystyki wcale jej też zaszczytu nie przynosi, a insynuacje *Polityki* i *Pokroku* przeciwko młodoczeskim przywódcom, nazywanie ich zdrajcami sprawy narodowej, narzędziami rządu, sprzymierzeńcami Niemców, intrygantami i t. d., plamą i te organa, stawiając je na równi z zaszarganymi szmatami gazetarskimi, które w Wiedniu, ku hańbie publicystyki, wychodzą. Śmieszne jest bowiem i oburzającym rzucić podejrzenie, by ludzie z taką przeszłością jak Śladkowski, Trojan, Gregrowie, Emanuel Tonner, Kodym i inni, mogli dać się użyć za narzędzie wrogom narodu. Ze strony młodoczeskiej, o ile wiemy, poszanowanie dla osoby Palackiego i Riegera, pomimo różnicy przekonań, nie umniejszało się wcale.

Ze strony jednak przeciwniej zaciekłość smutnie objawiła się w maju r. b., przy sposobności jubileuszu zasłużonego historyka i wodza narodu, bo od obchodu jubileuszu organizatorowie zupełnie młodoczesków wyłączyli. Uroczystość ta odbyła się bardzo świetnie, sędziwy mąż doznał mnóstwa oznak miłości narodu i uznania, tysiące telegramów z powinszowaniami ze wszech stron przysyłano. Już przy tym obchodzie Palacki czuł w sobie zaród choroby, która prędko rozwinęła się w sposób przerażający i w dniu 26 maja około 4-jej po południu oddał Bogu ducha. Pogrzeb

zmarłego odznaczał się taką świetnością, jakiej od pogrzebu Purkyniego Praga nie widziała; w orszaku żałobnym uczestniczyła cała ludność miejska, a nadto deputacje od różnych stowarzyszeń prowincjonalnych, sokoły w malowniczych kurtkach i kapeluszach z piórkami, rzemieślnicze cechy w uroczystych strojach i t. d. Ciało nieboszczyka przewieziono uroczystie do Lobkovic, gdzie złożono je w grobie, obok zgasłej przed trzynastu laty małżonki Palackiego.

Bronisław Grabowski.

DAWID PILCHOWSKI,
BISKUP-SUFRAGAN WILEŃSKI.
Szkic literacki.
Napisał Felicjan Suryn.

I.

Wszystkim znana jest potworność języka, nielogiczność i beztreściowość literatury naszej ze schyłku XVII i początków XVIII wieku. Rubinkowskiego „Janina“, Daneykowicza „Swada“ były to jeszcze dzieła wyborowe, w których, z wielkim wprawdzie mozolem, można jednak odnaléć myśl jaśniejszą, przewodnią. Ogół mów panegirycznych, poezji okolicznościowych, to już twory bez iskiery sensu i logiki. Baka, ów Baka tak nielitośnie brany na fundusz przez pisarzy nam współczesnych, imię którego zrobiono synonimem wszelkiego nonsensu, był tylko jednym z wielu, a nawet logiczniejszym od wielu współbraci poetów i kaznodziei.

W szkole samowładnie rządzący jezuita i wszystko naginali do swoich samolubnych celów. „Najpiękniejsze lata wieku młodego — mówi uczoney Jaroszewicz — trwoniono w tych szkołach na uczeniu się gramatyki z Alwara, prawideł wiérszym po części układanych, a tém samym więcej zdolnych obarczyć niepotrzebnie pamięć, niż rozum i pojęcie rozwinąć. Po gramatyce wykładano poezję, retorykę, a gdziegdzie i filozofię; ale pierwsza, pod centnarowym ciężarem prawideł, pełzała po ziemi, bo te tylko w niej myśli i rymy uważano za dobre, które *Gradus ad Parnassum* wcześniej przewidział i przygotował; druga stosowano głównie do potrzeb kaznodziejskich, a w filozofii, która, jak wiemy, była scholastyczną, trwoniono siły umysłowe na szpérania czece, próżne i do niczego nieprzydatne. Wreszcie po filozofii szła z kolei teologia, lecz do niej chyba ten ze świeckich chciał się przykładać, który już myślał o stanie duchownym. Innych nauk: historii, geografii, arytmetyki, geometrii, zaledwo pierwsze wykładano rudimenta, i to nie dla wszystkich. Języków nowożytnych wcale nie uczono; zaniedbywano nawet mowę ojczystą.“ (Dotąd Jaroszewicz).

Dla przywabiania młodzi i uciechy rodziców wyprawiano okazałe procesy i dialogi, treść których czerpano z Pisma Świętego, obrazując na scenie najwznioślejsze tajemnice wiary.

Zle wygórowane sprawadziło wreszcie przełom. Ruch opozycyjny objawił się jeszcze za panowania Augusta II-go, wkrótce po egzekucji toruńskiej. Na sejmie 1726 r. stan świecki uskarżał się na zbyt wygórowaną potęgę kleru i na chciwość takowego w egzekwowaniu dziesięcin i wyłudzeniu zapisów. Z większą energią i jednomyślnością ponowiono te skargi, za inicjatywą posłów czerkiskich i liwskich, na sejmie 1752 r. Odtąd wciąż wzrasta poczucie potrzeby reform w szkole, w ustroju społecznym i literaturze. Zbudzenie się więc narodu z apatii było samodzielne; impuls nie pochodził z zewnątrz, zbudzenia się tego nie wywołały idee zaczerpnięte na cichym dworze w Nancy, ani też reformy Konarskiego; owszem sam Leszczyński i Konarski byli synami, więcej postępowymi, głębiej myślącymi, lecz już zbudzonego społeczeństwa polskiego. Ich zasługa, że umieli ten kiełkujący ruch postępowy zogniskować i wskazać mu cel dążeń.

Gdyby zawistne nam losy nie przeszkodziły

Stanisławowi Leszczyńskiemu tron posiadać, reforma rządu i literatury o wieleby wcześniej przypadły (1).

Wyniesienie na tron Stanisława Augusta, miłośnika nauk i sztuk, wiele rokowało dla postępu; to też w początkach panowania tego ruch wzrasta i objawia się na polu działalności umysłowej i ekonomicznej. Ale Stanisław August nie umiał pojąć wypadków i pokierować nimi. W planach lekkomyślny, o ile pochopny do innowacji, o tyle niewytrwały był w doprowadzaniu ich do skutku. Przenosił on zawsze dowcipne nadgruntowne, pozory nad rzecz samą. Na zamku warszawskim zbierało się grono pochlebców, ludzi z talentem, lecz lekkomyślnych, trwoniących swoje zdolności na dowcipne parodyowanie wypadków chwili. To też epoka ta, nazwana Stanisławowską, przebrzmiałaby bez następstw, gdyby jej nie uzacniło kilku mężów pracy wytrwałej i sumienniej, a miłości wielkiej. Im to należy się zaszczyt oczyszczenia mowy i na polu literackim, nawiązania zerwanej z oświatą Zygmuntofską nici.

Proza wieku Stanisławowskiego nieporównanie wyżej stanęła nad ówczesną poezją; wolna od naleciałości cudzoziemskich, stała się odgłosem dążeń narodu.

Zamiarem jest naszym zapoznać czytelników z jednym z najzacieńszych i najuczestniejszych ludzi ówczesnych. W ocenie pism jego poznać im damy arcywzór treściwości i jędrności wysłowienia, bo Dawid Pilchowski, o którym mówić chcemy, po mistrzowsku władał ojczystą mową.

II.

Dawid Pilchowski urodził się w domu obywatelskim, we wsi dziedzicznej rodziców, Rutkiskach, w kraju tak zwanym zapuszczańskim, w ówczesnym księstwie żmujdzkiem, w 1735 roku. Były to czasy najzacieńszej walki jezuitów z pijarami; w następnym bowiem roku 1736 odbył się sejm *pacificationis*, na którym jezuita otrzymali zatwierdzenie przywileju wyłącznego nauczania na Litwie. Przyszło aż do zbrojnej egzekucji przeciw pijarom 1741 roku, spór zaś stanowczo został zakończony dopiero w 1753 r., ugodą między księdzem Jurachą, rektorem akademii jezuitkiej, a księdzem Kacprem Trzeszkowskim, prowincjałem pijarskim. Pijarom pozwolono tylko utrzymywać 24ch uczniów (konwiktów) w Wilnie.

Mimo przegranej pijarów spór ten obfity był w następstwa. Jezuita zrozumieli dobrze, że zwycięstwo swoje zawdzięczają tylko silnej protekcyi dworu, większość zaś obywatelstwa widzieli sprzyjającą ich przeciwnikom. Zaczęli tedy uznawać konieczność niejakich ustępstw, niejakich reform w duchu postępowym, słowem, postanowili naśladować zreformowane szkoły pijarskie. Powoli więc zaczęto zwracać większą uwagę na naukę języków nowych, na mowę ojczystą, na studia nad pisarzami klasycznymi.

Do tak zreformowanych szkół jezuitkich oddany był młody Pilchowski, i obdarzony zdolnościami wysokimi, umiał się odznaczyć. Na ławie szkolnej zawiązała się przyjaźń jego z Poczobutem, której wierni pozostali obaj aż do śmierci. Poczobut z zamiłowaniem oddaje się naukom matematycznym, a zwłaszcza astronomii; Pilchowski z równym oddaniem się studjuje klasycznych pisarzy. W roku 1760 obydwaj przyjaciele z chlubnym odznaczeniem bronią tez teologicznych i uzyskują stopnie.

Wcześniej jeszcze rozpoczyna się bardzo ruchliwa i ze wszech miar pożyteczna działalność nauczycielska Pilchowskiego. Jezuita, na wzór warszawskiego pijarskiego *Collegium nobilium*, przekształcili swój konwikt fundacyi Szyszki, za-

(1) Zmiana ku lepszemu w literaturze objawiła się już za rządów Augusta III. Dzieje Inflant Hilzema, chociaż bez porządku i ładu, bez świadomości krytyki pisane, odznaczają się jednak językiem wolnym już prawie od makaronizmów. Toż samo powiedzieć można o tragediach i komediach Wacława Rzewuskiego, w których brak zupełnie twórczości i poezji, lecz język mają znacznie czystszy.

raz po ugodzie z pijarami. Był-to zakład wysoce arystokratyczny, przystępny tylko dla bardzo majątnych. Utrzymywano uczniów zbyt kłopotliwie, lecz mniej już dreczono ich Alwarem, a natomiast uczono więcej Francuzczyzny, trochę historii i geografii. W tym kolegium Pilchowski rozpoczął nauczycielski swój zawód, po powrocie z podróży do Włoch. W roku 1771 już był prefektem zakładu, i jego staraniem, jego kosztem w tym czasie przy kolegium założono bibliotekę, którą następnie Ignacy Chodźko jezuita pomnożył darowizną wielu książek. Z Kaźmirzem Naruszewiczem dzielił trud zarządu drukarnią, z której w tym czasie wychodziły takie dzieła, jak tłumaczenie Bieniasza Budnego i najpierw wydane dzieło Pilchowskiego, tłumaczenie Salustjusza. Prawdziwie klasyczny to przekład; poprzedził on o lat kilka wydanie Tacyty, w przekładzie Adama Naruszewicza. Styl Pilchowskiego odznacza jędrną treściwość, prostota i potoczność. Nieskończenie wyższy od znanego w początku XVII wieku tłumacza dzieł klasycznych łacińskich, Andrzeja Wargockiego, pięknoscą języka wyrównał Skardze i Cypryanowi Bazylikowi. Równie pięknym językiem dokonał tłumaczeń pism Seneki; wychodziły one kolejno z tejże drukarni jezuitkiej. Studya nad Seneką nie miała ulgę musiały przynosić uczonemu naszemu w owych tak smutnych czasach, gdy widział zagrożone upadkiem wszystko to co kochał. Był-to też pokarm pożywny dla czytającego ogółu, nauka tak potrzebna w ową chwilę.

Żeby dać poznać styl Pilchowskiego, dam parę króciuchnych wypisów z jego tłumaczenia Seneki: „Nie tego ja poczytam za mężnego rycerza, który pośród gminnego ludu dobrego bytu i wczasu zażywa,—lecz którego ani wojna osłabić, ani potęga nieprzyjaciół zastraszyć nie potrafi. W takim więc rozumieniu mam filozofa za nieskrzywdzonego. Przeto nie to nie ma, że tak wiele nań pocisków wystrzelają, ponieważ w sobie jest hartowny i nieprzebity.“ I dalej: „Jako wyniosłe skały morze rozdziera, a na sobie śladu nawet z owych burzliwych i przez tyle wieków uderzających wałów nie ukazują,—tak umysł mądrego stały jest i tyle sił mający, iż nakształt owego, com w podobieństwie przywiódł, bezpieczn od krzywdy zostaje.“ (O stałości mądrego, rozdział III). W dedykacji zaś książki tej Ignacemu Dąbrowskiemu tak mówi: „Z filozofa Seneki tegom się nauczył, iż pierwsza i najważniejsza zaleta i chwala nie na tym zależy, co z zewnątrz bez przyłożenia się naszego przychodzi, ale co wewnątrz, za pracą i staraniem naszym, godnego chwały staje się. Mały zaszczyt, gdy w kim cnota nie dochodzi wysokości imienia; hańba, gdy imię zostaje bez cnoty; zupełna chwala, gdy oba w równi stają i wzajemnym blaskiem sobie przyswiecają, zawsze jednak dając pierwszeństwo cnotcie, od której zacność imienia jako początek, tak wzrost swój bierze.“

Z czasów nauczycielstwa jego w *Collegium nobilium* zostało mów kilka, wszystkie w języku łacińskim, którym władał z taką łatwością Pilchowski, jak i ojczystą mową. Tak w 1760 r. powitał odwiedzającego Collegium słynnego w owych czasach bibliofila, biskupa kijowskiego, Józefa Załuskiego. W niej znać postęp niezmierny, w porównaniu z szumnymi panegirykami, tak modnymi jeszcze nawet w owych czasach.

Rok 1773 pamiętnym był w całym chrześcijaństwie, a najbardziej może w Polsce, upadkiem jezuitów. Bula Klemensa XIV: *Dominus et Redemptor noster*, była piorunem, co w proch obalił gmach pychy i chciwości. Ale obalenie instytucji, ugruntowanej przez tyle wieków, tak wyłącznie jak na Litwie dzierżącej wychowanie w swych rękach, nie mogło się obyć bez zamieszania, obaw i chaosu. Zdawało się nawet że zagłada zakonu, będzie zagładą oświaty samej; były obawy o byt nawet szkoły głównej litewskiej, a podzielał je Pilchowski, wraz z przyjacielem swoim Poczobutem. Były-to jednak płonne obawy. Ogromne bogactwa pojezuickie, nawet po rabunku takiego Massal-

skiego, na Litwie samej wynosiły ze trzy miliony rs. Nowo więc ustanowiona komisja edukacyjna miała dostateczne środki do zapewnienia bytu szkole głównej. Owszem przejście szkoły tej pod zarząd komisji było dla niej zaraniem dobrobytu. Massalski wprowadził przez czas jakiś paraliżował rozwój szkoły, lecz od chwili objęcia rektoratu przez Poczobuta w 1780 r. rozwój instytucji trwa ciągle.

Pilchowski przy tym nowym urządzeniu szkoły głównej objął katedrę literatury i był prezesem kolegium moralnego, w kościele zaś kanonikiem inflanckim. W pracach Poczobuta około reorganizacji akademii brał udział znakomity, i śmiało twierdzić można, że było to ich wspólne dzieło. Poczobut nie miał łaski u biskupa Massalskiego, prezesa komisji edukacyjnej, wiemy zaś, że książkę biskup nie był z liczby ludzi, umiających odróżniać rządzącego instytucji od samej instytucji. Dumny do szaleństwa prawie, chciwy i egoista, jak nikt w owym nawet zepsutym wieku, z pewnością przez nienawiść ku Poczobutowi szkodziłby rozwojowi szkoły głównej, gdyby Pilchowski nie stawał z pośrednictwem pomiędzy nimi. Pilchowski należał do małej liczby ludzi, mających mir u wszystkich stronniactw. Nie był on obojętny, miał niezłomne swe zasady, lecz cichy, zamknięty w sobie, nie był też skłonny do manifestowania swych zasad. Z wyżyn kontemplacyjnych mędrca poglądał on na te drobne waśnie i zawiści stronniactw, bolał nad nimi, lecz nie występował w szranki; ciemnotę uważał za ich źródło i nad jej rozproszeniem a krzewieniem światła pracował gorliwie.

Nastąpiło uroczyste zagajenie nauk w akademii w 1783 roku. Co było znakomitszego w Wilnie i okolicach, zebrało się w auli akademickiej; rektor zabrał głos; mówił potem Pilchowski, i tą razą w języku łacińskim nawoływał uczniów do pracy wytrwałej i ją wskazywał jako jedyny środek zażegnania burz ówczesnych.

Nietylko jednak radą, ale i pieniężną pomocą służył Pilchowski akademii; ze szczupłej swej płacy odkładał oszczędności, bardzo mało wydając na życie. Tak przyszedł raz w pomoc instytucji, gdy zabrakło pieniędzy na opłatę nauczycieli szkół wydziałowych; inną znów razą pożyczył aż 20,000 złotych polskich na kupno placu od Reniera na ogród botaniczny. Drukarnię akademicką od początku rektorstwa Poczobuta rządził Pilchowski i zdezelowaną, podczas sprzeczek o nią sukcesorów Tyzenhauza, postawił na tak dobrym stopniu, że zaczęła przynosić znaczne dochody, wychodziły zaś z niej dzieła takie, jak na przykład przedruki kazań Skargi.

Zdrowie nie dopisywało tylko naszemu uczonemu, bo już w 1786 r. musiano mu dodać pomocnika do katedry literatury, księdza Golańskiego pijara, człowieka zdolnego, lecz mało wymownego.

Podczas sejmku Wielkiego Pilchowski nie pozostał obojętnym. W ogromnej masie ówczesnych broszur okolicznościowych spotykamy dwie pióra jego: „O poddanych polskich“ i drugą: „Odpowiedź na pytanie, iżali nieczułość w wyższych wiekach ku poddanym tak była opanowała serca Polaków, iż uczeni nawet nią zarażeni zostali.“ W broszurach tych wiele jest sumiennych i gruntownych studyów, ale napisane stylem spokojnym, nie odpowiadały owej chwili podniecenia umysłowego i gasły wobec ognistych, namiętnych pism Staszica i Kollataja.

Następne lata, tak obfite w wypadki i katastrofy, zachwiały najszlachetniejsze, najzdolniejsze umysły. Bartoszewicz mówi, że Krasicki przestał żartować, Zabłocki zamilkł, Naruszewicz umarł z boleści. Lecz Pilchowski miał więcej głębokiej od nich wiary; u stóp więc krzyża złożył swe utrapienia i znalazł pociechę. Nie opadły mu ręce, boleść go nie zlamiała; owszem, wrócił z dawną gorliwością do prac swoich. Kapłan Chrystusowy, poszedł jednac zwaśnionych, przebaczać zblakłym i żalującym. Nawet samowładna Targowica w 1793 roku powołała go do osobno utworzonej

dla Litwy komisji edukacyjnej, i on to ze Strojnowskim najzdolniej bronił zagrożonych interesów akademii. W tymże roku został sufraganiem wileńskim. Może Massalski sam czuł, że zaszedł zadaleko, więc przybierał pomocnika, coby mógł go ratować, w razie tryumfu innego stronniactwa.

Odtąd rządy dyecezyi wyłącznie spełniał Pilchowski. Massalski, a następnie Kossakowski, więcej asceta, niż człowiek czynu, godność swoje uważali za synekurę, poprzestawali na dochodach, pracę zostawiając sufraganowi. Sufragania ta był-to wieniec cierniowy. Pod zwierzchnikiem takim jak Siestrzencewicz, wiernie służyć dobru swych owieczek, było rzeczą niełatwą. Głęboko wierzący kapłan umiał mu jednak dotyla zaimponować, że dość łaskawym okiem spoglądał na swego sufragana, rad że brał na siebie wszelkie prace jemu zostawiając wesołe używanie.

W 1797 r. wszedł do śladu komisji czuwającej nad porządkiem nauk w akademii. Nominalnym jej prezesem był biskup Kossakowski, lecz rzeczywiście czynnymi członkami byli Pilchowski i Strojnowski, i im to należy się wdzięczność za ocalenie fundamentów akademii, za możliwie dobry w niej porządek, aż do nowej już reformy, za rządów cesarza Aleksandra I. Rok tej reformy 1803 był ostatnim życia naszego Pilchowskiego. Umarł 4 grudnia w Wilnie. Majątek swój, składający się z kamienicy i 7 tysięcy czerwonych złotych, zapisał na wychowanie dwunastu biednych uczniów.

Mało dziś znane jest imię Pilchowskiego, jak wogóle imiona wszystkich cichych pracowników; mało kto zajrzy do wzorowych tłumaczeń jego. Jako pisarz już ciż musi ustąpić pierwszeństwa Naruszewiczowi i Kollatajowi. Dla mnie jednak zawsze dziwnie pociągający urok ma ten cichy, pracowity, wierzący i kochający kapłan i filantrop, w wieku niewiary i sobkostwa. Może to właśnie kontrast z owym wiekiem i otoczeniem sprawia, że prawie posagowo, prawie nimbem opromieniona, rysuje się postać Pilchowskiego na tle ówczesnym.

NA ROZDROŻU.

POWIEŚĆ W DWÓCH TOMACH,

przez

Deotymę.

TOM DRUGI.

(Dalszy ciąg).

— Po namyśle, wydało mi się najprostszym wyjść pod pozorem rannego nabożeństwa, zając do hotelu gdzie mieszkał i posłać mu słówko wzywające. Napisałam w kilku wyrazach prośbę, aby przyszedł wcześniej, jak może najwcześniej, i słysząc już ruch w całym domu, włożyłam kapelusz. Pamiętam że przed zwierciadłem zlekkałam się własnej twarzy: byłam zielona. Welonik dodał mi śmiałości. Chciałam wiać Ci się, bo jakżeż ją zostawić z trupem? ale odważne dziecko uparło się żeby zostać. Niewłaściwie nazywam ją dzieckiem; była nim aż do owego wypadku, i to bardzo naiwnym; jeszcze ją zajmowały pępek, bo dopiero dwunasty rok liczyła. Ale od owej nocy dojrzała nagle duszą, sercem, umysłem, nie do uwierzenia, jakby jej w kilka godzin dziesięć lat przybyło. Już rano zenną rozmawiała jak dorosła i rozumna osoba.

— I dlaczegóż nie chciała iść z panią?—spytał Wiesław.

— Słuszny dawała powód. W hotelach służba ma podwójne klucze. Jeśli, mówiła, wyjdziemy obiedwie i klucz zabierzemy, przyjdą sprzątać pokoje, a wtedy wszystko się odkryje. Ale jak ja za mamą zamknę i klucze wewnątrz zostawię, nikt się już nie dostanie. Wysłałam więc. Na schodach

uczulam całą drażliwość mojej rany, ale wiele czyni kto musi. W bramie, jak mogłam najspokojniej, zapytałam szwajcara, w których kościołach są wczesne nabożeństwa, i śmiało puściłam się przez plac. Od czego to zależy nieraz cała przyszłość! W środku placu spotykam Ryszarda Pelkę. Całe życie miał on zwyczaj wychodzić rano na przechadzkę. Chciałam przejść niepostrzeżenie, ale mię poznał po chodzie, dogonił i zaczępił, dziwiąc się niezmiernie, dokąd idę sama o takiej godzinie. Trzeba koniecznie było dać jakiś powód. Kościół? Bałam się że będzie mi chciał towarzyszyć. Nagle myśli moje wzięły inny obrót: to spotkanie wydało mi się wskazówką Opatrzności. Przecież w jego ręku spoczywała najwyższa władza sądowa. Jego zdanie mogło najprędzej przeważyć szalę. Ten człowiek zawsze okazywał mi życzliwość, a przytém był powszechnie szanowany. Sam pan Tytus nie szukałby dla nas ratunku u nikogo, tylko u niego. Powiedziałam że mię spotkało nieszczęście wielkie, niesłychane. Poszukaliśmy ustronnego miejsca, gdzieby można się rozmówić, nie zwracając oczów. Na blizkiej ulicy stał kościółek, poprzedzony małym dziedzińcem cmentarnym z krzyżkami. Tam stanęliśmy, jak ludzie co się u wejścia spotkali. Opowiedziałam szczerze, krótko, jasno, jak na spowiedzi. Zatrzasnął się i zatrzymał głęboko. Po namyśle, z zadziwiającą przytomnością, nauczył mię jak mam w pierwszej chwili postąpić, a potem dodał: „Jeżeli pani powiedziała mi rzeczywiście wszystko, mam nadzieję, prawie pewny jestem, że panią ochronię od wszelkiej odpowiedzialności. Ale trzeba mię słuchać ślepo, poddać się moim wszelkim rozkazom i wymaganiom, choćby niezrozumiałym na pozór, bo inaczej za nic nie ręczę. Jakie to szczęście, mówił jeszcze, żeś pani się nikomu pierwiej nie zwierzyła, szczególnie panu Odoniczowi, który, jako główny choć mimowolny czynnik całej sprawy, mógł w pierwszej chwili jakim nieostrożnym wybuchem wszystko zgubić. Nie wymagam abyś mu pani kiedyś nie powiedziała prawdy, ale to nie przędź, aż ja uznam chwilę za stosowną.“ Raz wyznawszy, musiałam przyjąć skutki mego zaufania i obiecać że wszystko spełnię, co też czyniłam bez najmniejszej obawy, bo okazał tyle gorliwości, współczucia i współubolewania, że odrazu chwycił mię za serce.

— Doprawdy?—zauważył pan Tytus, odzyskując w głosie swoją krwawą ironią.

— A tak, czemuż nie mam być otwartą? Wtedy nie podejrywałam w nim żadnego wyrachowania. Prawdę jednak mówiąc, przy samém odejściu, pamiętam... rzucił na mnie spojrzenie jakiegoś dziwnego, które mię zastanowiło. Ale w takim stanie umysłu, wrażenia uboczne szybko się zacięrają. Wpadłam do kościoła, tylko na minutkę, bo śpieszyłam się do dziecka. W jakiejś ciemnej kaplicy wyciągnęłam ręce do Boga, błagając Go aby nas wyratował od fałszywego oskarżenia, i muszę przyznać że w tym względzie Bóg mię zupełnie wysłuchał. Za powrotem do fatalnego pokoju, zastałam Cesię ciągle odważną, ciągle w ruchu. Zmywała właśnie z posadzki ślady krwi, która była moją własną, ale mogła rzucić podejrzenie. Według danych mi wskazówek, weszłam na komodę i odwiązałam sznur od dzwonka, a potem, okropność wspomnieć... ja i Cesia podźwignęliśmy zwłoki, bardzo ciężkie, i zanosły je na łóżko tej nieszczęśliwej. Gwałtowne ruchy otworzyły mi znów ranę, musiałam ją świeżo opatrywać wodą; potem wszystką zakrwawioną bieliznę schowałyśmy na dno kufrów, zamknęły ją szczelnie, uporządkowały kotary, pościel, wszystkie sprzęty, i siadły, nie mogąc nawet mówić. O dziewiętej, według umowy, zjawił się Ryszard, na pozór wesół; przyniósł mi bukiet z kwiatów polnych. Całe miasto znało jego ranne przechadzki, nikt się więc nie zdziwił tą wczesną wizytą. Chcąc ją upozorować jeszcze lepiej, zszedł wkrótce do bramy i przy wielu osobach posłał po duży pojazd, mówiąc że przyszedł namówić znajome sobie podróżniczki na całodzienną przejażdżkę po okolicach miasta. Wróciwszy na górę, wszedł do pokoju... nieboszczki. Nie wiem co tam robił. Zdaje się że tak wszystko urządził, aby wyglądała na

ofiare samobójstwa. Nie śmiałam zaglądać. W jakie pół godziny wrócił i drzwiczki starannie zamknawszy, obejrzał nasze pokoje. Otworzył okno, ażeby wyziewy krwi rozpędzić, potem kazał sobie oddać sztylet, który schował do kieszeni, mówiąc: „Jeszcze nie wiem czy mi będzie potrzebny, czy nie; w każdym razie nie powinien się u pań znajdować.“ Nakoniec, na jego żądanie, zadzwoniłam o kawę. Siedliśmy, jakby nigdy nie, do śniadania, przy którym zaczął zrećznie podpytywać się Cesi. Struchlałam. W mojem opowiadaniu przed kościołem nie wspominałam nic o jej udziale; ma się rozumieć, wszystko wzięłam na siebie. Cesia, pomimo rozpaczliwych moich znaków i mrugań, opowiedziała rzecz inaczej, dowodząc że ona jedna jest sprawczynią śmierci. Wtedy ujrzałam po raz pierwszy, co później miałam widzieć tak często, Ryszarda w gniewie. Spojrzał na mnie po inkwizytorsku, mówiąc: „To taka pani szczerość? Proszę aby mi się to nie powtórzyło. Jest zaufanie, albo niema. Wszystko, albo nic.“ Zadrżałyśmy. Ten człowiek stawał się dla nas panem życia i śmierci. Jednak ta pierwsza burza prędko przeminęła; znów nas pocieszał, uspokajał, a kiedy kelner przyszedł zabrać kawę, spytał go z wielką prostotą: „Dużo też macie gości?“ Tamten odpowiedział: „Niebardzo dużo, panie. Na tém piętrze prawie nikt nie stoi, bo najdroższe.“ Spojrzeliśmy po sobie z radością, upewnieni że nikt w nocy nie musiał słyszeć mego krzyku. Potem pytał o lokatorów sąsiednich, a gdy mu powiedziano że to jakaś cudzoziemka, dodał: „Nie pytam się przez ciekawość, ale przez uczciwość, bo właśnie przy kawie te panie mi mówiły, że w nocy słyszały tam jakieś jęki. Dobrzeby się dowiedzieć, czy nie zachorowała.“ Kelner wyszedł, mrużąc: „Bał co jej się tam stać miało?“ Jednak przywołał służącą, aby zastukała. Kiedy zostaliśmy sami, spytałam z przestrachem: „Jako? Pan sam ostrzegasz, i to w naszym imieniu?“ A on odpowiedział: „Tak właśnie. Będziecie ostatnie posadzono, kiedy najpierwsze ostrzeżenie.“ Tymczasem już od korytarza stukano. Póki życia, nie zapomnę tego loskotu. Wiedziałyśmy dobrze iż nikt nie może otworzyć, a trzeba było udawać niepewność i oczekiwanie. Powstał alarm w hotelu, zbiegła się służba i gospodarz zafrasowany. Ryszard poradził aby posłać po ślusarza, a gdy go nie było widać, zawołał z naszego pokoju: „Przecież tu są drugie drzwi. Tylko niema klucza, gdzie klucz?“ Gospodarz skoczył i przyniósł. Ryszard sam otworzył drzwiczki z wielkim naciskiem i trzaskiem, a próbując raz jeszcze klucza, rzekł do gospodarza: „Przepraszam, zdaje się że z tego pośpiechu trochę zepsułem zamek, najchętniej zapłacę.“ Potem weszli do pokoju: powstały wielkie wykrzyki i ubolewania. Zaczęli się zbiegać podróżni z innych pięter, tłok zalał korytarz, nawet nasz salonik. Ryszard wszystkiem kierował, posłał po urzędników, rozkazy wydawał; co żyło go słuchało. W chwili największego rozruchu, wziął mię nabok i powiedział z prawdziwym przestrachem: „Na miłość Boską, czegożście takie pomieszane? Nie możecie tu zostać... wasze twarze was zdradzają.“ A gdy wszystko sprawdził, odezwał się głośno: „Ja tu nie mam co robić, doniesiecie, mi panowie co się dalej pokaże.“ Poczém dodał, zwracając się z wielkiem uszanowaniem ku mnie: „Już dziś podobno nic nie będzie z naszej zamierzonej przejażdżki, ale zawsze służę pojazdem, bo sądzę że trudno pani zostać w tém smutnym mieszkaniu, tém bardziej że tu się zaczyna różne przykre formalności, może nawet pokój ten będzie potrzebny moim urzędnikom, do rozłożenia się z papierami. Czyby nie było najskładniej, żebyś pani, zamiast jeżdżenia po hotelach, zechciała zajechać do mnie? Będę najszczęśliwszy, przyjmując damę tak zaeną, której powinniśmy podziękować za miłosierne zajęcie się tą żalną sprawą.“ Czulałam że jego mowa czyniła nas jak śnieg białymi w oczach ciekawych słuchaczy. Mieszkanie, wczoraj tak lekko odrzucone, dziś przyjąłam, jakby dobrodziejstwo. Kiedy mię ten poważny dygnitarz sprowadzał ze schodów, tłum z uszanowaniem rozstępował się przed nami w sieniach i na placu, bo już i plac był pełen ludu. W swo-

im domu, Ryszard oddał nam trzy pokoje przesliczne, ale wszystkie od dziedzińca, i prosił nas abyśmy do innych nie wchodzili, gdyż tam pełno osób z interesami do niego uczęszcza. Dziś widzę że to były środki ostrożności, aby nie dopuścić między nami porozumienia się, ale wówczas brałam wszystko za dobrą monetę. Owszem, ja i Cesia nie wiedziałyśmy jak mu dziękować za jego opiekę, czujność i troskliwość. Rozgościwszy nas, uczył nas, ukołwiwszy, wybrał się do biura. Kiedy wychodził, zapytałam go nieśmiało co mam panu Tytusowi powiedzieć, jak przyjdzie? Po namyśle, pozwolił mi powiedzieć wszystko, pod warunkiem tylko zupełnej tajemnicy. Ach, mógł śmiało pozwalać, wiedział że do tej rozmowy nie przyjdzie. Przez pięć śmiertelnych godzin czekałam, siedząc jak na węglach. Żeby być mogła przynajmniej patrzeć na miasto, wyglądać czy pan Tytus nadchodzi, dać mu jakiś znak z góry. Ale nie miałam żadnego okna od ulicy, a nie wypadało wtargnąć do wyłącznych pokojów gospodarza. Nakoniec jednak wzięła mię tak silna pokusa, że i tego spróbowałam... Próżna próba! Drzwi były na klucz zamknięte.

— A ja tymczasem—zawołał pan Tytus—chodźcie i chodźcie. Zawsze mówiono, że pani mię nie chce przyjąć.

— Mnie nigdy mówiono, że nikt nie przychodził, że nikt się ani spytał. Służba, jak widać, była dobrze wyuczona. Kiedy Ryszard powrócił na obiad, zaklełam go aby mi pozwolił napisać do pana; zgodził się z największą uprzejmością i sam zaniósł nadół list odemnie, króciuchny, w którym błagałam abyś pan choć na chwilę przyszedł. Po obiedzie Ryszard zniknął na dosyć długo i nagle wbiegł niby z radością, przynosząc mi odpowiedź, którą, jak mówił, na dole oddano. Otworzyłam, i znalazłam, co? Mój własny list, ten który przed godziną wysłałam, a jednakże koperta była wyraźnie podpisana ręką pana Tytusa.

Pani Irena zamilkła. Odonicz, wstawszy, położył ręce na ramionach Wiesława i patrząc mu w oczy, zapytał:

— Czy ty kiedy słyszałeś o czém podobnym?

— Nigdy! Ale przez Boga żywego, jak się to stało?

— Rzecz teraz jasna. Ten niegodziwiec miał już widać w ręku mój pierwszy list do pani Ireny, przemieszczał na listach koperty i odesłał je nam wzajemnie.

— Dobrze, rozumiem, ale pieczętki?

— O! to najmniejszy kłopot. W naruszaniu pieczęci jest właściwie jedna tylko trudność: opór sumienia. Dla poczciwych ludzi stanowi on przeszkodę niezwalczoną, ale temu co raz wszedł w układy z sumieniem, reszta już łatwo pójdzie, przy odrobinie zręczności i wprawy. Porównyując teraz nasze listy, widziemy że w pierwszych pieczętki są bardzo niewyraźne, w niektórych znaczą wyraźnie drugą warstwę laku; zato późniejsze się wydoskonalają; może kazał zrobić stemple. O dwie cyfry nietrudno. I tak z nas każde cierpiało osobno, nie wiedząc o cierpieniach drugiego, ach gorzej! złorzecząc sobie wzajemnie. Co za machiawelizm! Ach ten człowiek! Jeżeli jest piekło, to chyba dla niego.

— Panie Tytusie, panie Tytusie, dajmy pokój umarłym. Prawda, Ryszard i Romana oboje zatruili nasze życie, ale nam ustąpili pola, dzisiaj są już na Boskim sądzie, a my oto możemy się pogodzić i zaznać jeszcze dni spokojnych. A gdyby też które z nas było pierwiej zeszło ze świata? Straszno pomyśleć! Nie móż uniewinnić ani siebie, ani najukochańszej osoby. Bo pomimo wszystkiego, pan Tytus był mi zawsze najukochańszym. To też co cierpiałam po owym zwrocie listu, och, tego ludzkie słowo nie wypowie. Błagałam Ryszarda, aby mi pomógł w wyjaśnieniu tej niepojętej sprawy, poradził co robić? Wtedy siadł przy mnie, bardzo czule, chociaż jeszcze poważnie, i powiedział: „Niema co robić. Nie chciałem cię pani przedwcześnie zasmucać, ale teraz muszę powiedzieć. Ten twój pan Tytus był dziś w biurze u mnie, aby się dopytać... nie o kogo, tylko o tamtę. Jest zdesperowany śmiercią tej Włoszki

więcej niż przystało, i ze wszystkiego co mówił widzę, że już pani pewno nigdy go nie zobaczysz.“ A gdy zdumiona i struchlała pytałam: Dlaczego? Odpowiedział z widocznym zakłopotaniem: „Albo uwierzył w samobójstwo tej Włoszki i tak jej żaluje, tak sobie jej śmierć wyrzuca, że chce z panią zerwać, albo... doprawdy nie wiem jak to pani powiedzieć... albo się domyśla inaczej... i ma panią za prostą zabójczynię, bo trzeba pani wiedzieć, że już po mieście krążą różne pogłoski.“ Na ostatnie wyrazy uśmiechnęłam się tylko pogardliwie. Nadto szacowałam pana Tytusa, aby go posądzać o podobne myśli. Ale za to pierwsze przypuszczenie wydało mi się prawdopodobniejsze i przejęło mnie najwyższą boleścią. Powtarzałam sobie że istotnie pan Tytus musiał chyba kochać, i bardzo kochać Romanę, kiedy jej tak rozpaczliwie żaluje, kiedy chce zemną zerwać. I znowu tego zerwania nie mogłam pogodzić z naszą wczorajszą rozmową, z tyloma dowodami jego czułości dla mnie. A jednak było widocznym że zrywa, kiedy cały dzień się nie pokazał u mnie, kiedy list mój odesłał, nie racząc nawet nic objaśnić, ani wysłuchać mego usprawiedliwienia. To wszystko upokarzało mnie śmiertelnie w moich własnych oczach i oczach Ryszarda, przed którym nie wiedziałam jak wytłumaczyć postępowanie pana Tytusa. Ale to poniżenie, choć straszne, było jeszcze niezem w porównaniu z rozdarciem zawiędanego serca. Myśli moje płały się w chaos, w którym czułam że co chwila mogę stracić zmysły. Wieczorem dostałam gwałtownej gorączki, powiększonej zapewne i tą, która wszelkim poraniom zawsze towarzyszy. Moja rana, źle dotąd opatrzona, przy takich jeszcze wzruszeniach, jątrzyła się w zastraszający sposób. Cesia wpadła w rozpacz, Ryszard okazał zgryzotę, która mnie zdziwiła. Bezwzględnie było trzeba doktora, a jakże tu go wzywać, jakże wytłumaczyć ową ranę dziwną, widocznie ostrym narzędziem zadaną? Ryszard, który chodził jak błędny, uderzył się nagle w czoło i zawołał: „Cudowna myśl! Pojeżdż pani do mnie na wieś, choćby na kilka dni; mam starego famulusa, co służył w wojsku przy ambulansach i umiē leczyć rany lepiej niż wszyscy doktorzy. Dla całej mojej wiejskiej ludności jest felezerem, i mnie już nieraz wrócił zdrowie, a przytē taki przywiązany, że w ogieńby za mną skoczył. Przed nim nie potrzebujemy się tłumaczyć.“ Przystałam podobno, chociaż tego nie pamiętam, bo gorączka rosła. Ani wiem kiedy mnie wywieziono i dostawiono do Złotopola, do tych dóbr tak pięknie nazwanych, ale gdzie życie wcale mi nie było złotem. Kilkanaście dni leżałam. Jednak wróżba gospodarza prędko się spełniła; domorosły felezer uspokoił ranę, zaczęła się goić. Wstawszy, nie wiedziałam co mam z sobą począć. Dokąd jechać? Ryszard zaklinał, abym jeszcze została i dała przebrzmieć wszystkim wieściom złośliwym. „Póki—mówił—jesteś pani w moim domu, powaga mego stanowiska osłania cię, jak najlepsza tarcza.“ Otoczył mnie i Cesię nadskakiwaniem, zbytkiem, staraniami, które mię z początku wzruszały, ale wkrótce spostrzegłam z przestrachem, że mu się... bardzo... zanadto podobam. Stawał się codzień czulszym, powiedziałabym nawet śmiesznym jak na swoje lata, gdyby nieklamane uczucie mogło kiedykolwiek być śmiesznym.

— I pani to nazywasz uczuciem? To prosta namiętność—zawołał pan Tytus.

— Może być jednak że mię kochał, po swojemu. I pańska Romana zdaje mi się nie kochała inaczej. Ona kochała aż do zbrodni, on do przestępstwa. Oboje mieliśmy nieszczęście być nadto kochanymi. Przeżywszy z nim całe lata, zrozumiałam do pewnego stopnia ten dziwny charakter. Był on istotnie pełen gwałtownych namiętności, ale przytē i ogromnej woli, która w nim wyrobiła wstrzemięźliwość posuniętą aż do przesady. Chcąc opanować dziki swój temperament, poddał się higienie godnej anachoretów. Ze słońcem wstawał, sypiał prawie na desce, chodził bez miary, pił tylko wodę, kart nie wziął w rękę; nieraz mawiał że „trzymam sam siebie na żelaznym łańcuchu.“ Ale gdy raz się łańcuch zerwał, gdy puścił wodze jakiegokolwiek namiętności, szal wy-

buchał z całą siłą, z jaką był przytłumiany. Tak się stało i wówczas. Nicby jednak nie były pomogły wszystkie wybuchy i groźby, gdyby nie przekonanie, że byłam opuszczona przez pana Tytusa.

(Dalszy ciąg nastąpi).

W górach.

I.

Przygrywka.

Wkoło mnie otoczyły moje równie sennie
Pasmem jednakim;
Ale ja sobie lecę w krainy odmienne,
Umiem być ptakiem.
Błękitna przestrzeń mruga—zaprasza do siebie,
Skrzydeł nie użyj;
Pędzimy sobie we trójkę: ja, obłok na niebie
I listek róży.
Listek najpierwszy upadł na wioskowym kopcu
Cudzej granicy,
Jak rzucone słóweczko drogiemu mi chłopcu
Mdlęj obietnicy....
A obłok powiał dalej, pod słońko się stroi
W biel i we złoto,
Aż u chaty ostatniej, co w kraju mym stoi,
Zadrżał tęsknotą;
Wiatr szarpnął go za szatę—rozzucił mu włosy...
Toż łzami leci
Na łączkę, gdzie pod gruszą siedzi dziadus bosy
I kupka dzieci.
Nie chce odlecieć dalej—z tej mgły urodzony,
Z oparów rzeki,
Gdzież mu zwiędzać świat obcy, inne jakie strony
I kraj daleki?...
Więc sama lecę, sama—choć serce mnie boli
I smutno wróży...
Czemuż nie chciał obłoczek podzielić mój doli,
Ni listek róży?
Z obłoczka jabym sobie wieczorem pod głowę
Zwiła posłanie,
A z listka zasie róży toć czary gotowe
Na zakochanie...
Lecz sina dal pociąga, i wabi, i nęci
Jak cud nieznanany.
Ej! ujrę raz na oczy insze sianożęci,
Insze kurhany!
Ej! posłyszę ja przecież, jak to ludzie gwarzą
Obcym mi gwarem,
I wypatrzę miesiączek, z jaką wstaje twarzą
Nad cudzym jarem...
I dowiem się już wreszcie, gdzie tęcza podzięwa
Wstążek swych końce...
I jakie tam piosenki o zmroku rozbrzmiewa
Echo mdlejące...
U nas w wiosce znam wszystko, wszystkiemu już
Aż do znudzenia. [syta
Codzień z za tego wzgórza słońce rankiem świta,
Nic się nie zmienia!
Wiem gdzie rosą dziewanny, a gdzie niezabudki
W przydrożnym rowie;
Wiem gdzie szary słowiczek zwił domek malutki
W naszej dąbrowie;
Wiem gdzie ojciec łąn orze, gdzie matka wybiela
Cieniutkie płótna;
Wiem jak w święto wieczorem grzmi wiejska ka-
Jak fletnia smutna... [pela,
Lasek, cmentarz, kościółek, starego plebana
Znam już z pamięci...
Tęskno mi!... Ej, pociąga siłą dal nieznaną,
Wabi i nęci!

II.

Z Jarmuty mgła spada, jak rąbek z dziewczyny,
Po niebie obłoczek przewija się siny;
Za chwilę wschodzące
Spromieni go słońce
I tronem on będzie jutrzence...
Wcześniejszy od świtu, ciemniejszy niż zmięrczy,
Wszedł góral w swęj guni z siekiérką na wierzchy,
Nim dzionek rozbłyśnie,
On zagrzmie, zaświśnie

I echa rozbudzi w piosence...
O cicho—o cicho!—schylony na skale,
Utopił źrenice w powietrza kryształe
I liczy jak skarby
Omszone te garby,
Rodzinnych gór swoich przyczola.
„Prehyba! Petrańczyk! i Wilczę zielone,
To moja sadyba i gniazdo rodzone;
Jam z wiatrem tam latał
I z orłem się bratał,
Znam wszystkie smereki dokoła...
Tu Kunia, Opolta, a tam Koszarisko...
Ej, dalneż to wierchy, choć widzą się blisko,
Pieniażna, Czerteże,
Gdzie skarbowe złe strzeże,
Gdzie rogi nie jęczą pastusze...
Ej, byłoż mi świata pod skalne te ściany,
Dopókim nie poznał wietrzniicy Marany,
Co miga mi w oczach
Po łąkach, uboczach,
A śmiechem zabięra mi duszę...
Wróżyła Cyganka: „Złe dnie z Sokolicy!
Ej, nie chodź pod okno Marany wietrzniicy!
Bo serce wyśpięwasz
I Boga zagnięwasz
I pójdzie twa dola na marne.“
Nie chodź?... A także! od świtu się włóczę,
Gdzie dziewęcę zaplata warkocze swe krucze;
Och! wróży... wróżyby!...
Jam wesół i syty
Gdy w oczy popatrzę się czarne!
Nie będzie mnie chciała? ej! znam ja wąwozy,
Gdzie strzelcom z pod kulki z wichrami mkną ko-
Ot Rogacz, Homole, [zy,
Wybięram co wolę—
Przepaści jak śmierć tam głębokiel!
Ej, słońce ty! słońce! pośpieszaj ze wschodem,
Bo trudnoż mi z sercem stęsknioném i młodem.
Och! ani pamięta,
Że ziemia ta święta,
A nad nią jest niebo wysokie!“

III.

Słuchaj mnie, bracie! nie ta jest ruina,
Co gzymasy swoje osuwa zemdlone
Na białych kolumn głowice pieszczone,
Po których pajak szarą sić rozpina;
Nie ta, co skrzypi pod twemi stopami,
Dech tłumi pyłem, rdzą surową plami,
Z rąk się wilgotna ślizga jak gadzina;
Nie ta, gdzie straszy loch czarnemi usty,
Gdzie strop, przyćmiony grobowemi chusty
Pleśni—zaledwie barwy swe wspomina;
Nie ta, gdzie wiązań osłabłe ramiona
Podźwignąć nie chcą baszty, która kona
Boleścią matki nad upadkiem syna;
Nie ta, co dziatwę wychowuje kruczą,
Nim wielka orłów wybije godzina,
Gdzie kamień zdradza i z pod nóg ucieka,
Gdzie się zniszczenie w ciału przyobleka.
Zawierz mi, bracie! nie ta jest ruina.

* * *

Czy widzisz tłum ten, co śmiechem znieważa
Echa drgające w zakątach zamczyska?
Co przybiegł tutaj szukać widowiska
I z za szkieł groby obliczać cmentarza?
Ten tłum, co nędze swoje i śmieszności
Aż tu—pod słupem dziejowym przeszłości
Rozkłada—naksztalt miejskiego kramarza;
Z myślą motylęj i treści i wagi,
Palcem dotyka, gdzie skielec drży nagi
I dźwięki bruków w świątyni powtarza;
Ten tłum, którego piersi nie goreją
Żadnym wspomnieniem i żadną nadzieją,
Jako wygasłe ognisko nędzarza;
Niezdolen chęci rodmuchnąć w grom czynu,
Nad gmin wzniesiony, a niższy od gminu
Wobec tradycyi i wobec ołtarza;
Ten tłum, ze wzruszeń odarty, wyzuty,
Pusty, przeżyty, wyczerpany, struty,
Co szalę dziejów do zguby przeważa,
W którym skrę ducha Bóg chyba rozpali—
To jest ruina!... Bracie, pójdźmy dalej.

Marya Konopnicka.

Artykuły treści naukowej, z innych piśmiennictw czerpane.

Ludwika królowa pruska.

(Dokończenie).

W połowie stycznia 1808 r. dwór pruski i władze centralne przeniosły się do Królewca, a w czternaście dni później królowa urodziła córkę (księżniczkę Ludwikę). Życie pary królewskiej było i teraz równie proste, jak w Memlu. Królowa czytywała wiele i studiowała gorliwie historią Niemiec. „Żyję w przeszłości, pisała, ponieważ przyszłość już dla mnie nie istnieje.“ W wiejskim ustroniu po za miastem, starała się Ludwika zapominać o świecie i o wypadkach. „Mam dobre książki, dobry fortepian i mogę wśród burz świata żyć spokojniej, niż ci którzy je wzniecają.“

Wypadki ówczesne nie pozwoliły jednak królowej cieszyć się długo tym cichym życiem. Napoleon odebrał tron hiszpańskim Burbonom i osadził na nim swego brata. „Co powiesz o wypadkach hiszpańskich? pisała Ludwika do pani von Berg, czyż nie są one nowym targnięciem się tej żelaznej dłoni, ciężającej na czole upokorzonej Europy? Czyż nie jest to ostrzeżeniem dla nas?... Śród pokoju wypędzać swego pierwszego sprzymierzeńca! ziarno niezgody siać między ojcem a synem! infanta odrywać od serca ojcowskiego i wydalać go z ojczyzny!.. Czegoż my teraz możemy oczekiwać?“ Większe jeszcze znaczenie niż detronizacja Burbonów, miało dla Prus energiczne powstanie ludu hiszpańskiego przeciwko obcemu jarzmu. Przykład taki budził w Prusach i całych Niemczech myśl narodowej samopomocy. Anglia, której wojska walczyły już na półwyspie pireńskim przeciw Francuzom, nie odmówiłaby z pewnością pomocy pieniężnej. Austria zbroiła się skrycie z wielką żarliwością. Prusy mogły już teraz, dzięki energii swych kierowników, wystawić do 50,000 ludzi; Napoleon zaś musiał większą część wojsk swoich wycofać z Niemiec, by stłumić powstanie w Hiszpanii. Prusy w połączeniu z Austrią i wsparte coraz silniej budzącym się w całych Niemczech rozzdrażnieniem, mogły i powinny być uczynić krok stanowczy, zamiast pozostawać nadal w tak poniżającej zależności. Toczące się w Paryżu układy o ustąpienie wojsk francuzkich z pruskiego terytorium wzięły obrót dający wiele do myślenia. Żądało tam od Prus przystąpienia do związku reńskiego; Napoleon bowiem chciał sobie zapewnić bezwarunkową uległość Prus, nim do Hiszpanii wyruszy i w duchu tym nakreślił warunki traktatu, który też wreszcie został zawarty.

Gwałtowniej teraz niż kiedykolwiek uwydatnił się antagonizm między mężami ognistego ducha i energicznego charakteru, jak Stein, Scharnhorst, Gneisenau, a zwolennikami przymierza, ludźmi bez zasad, patriotyzmu i odwagi. Król wahał się pomiędzy temi kierunkami, wyczekując na przybycie cesarza Aleksandra, bez którego pomocy i przyzwolenia nie można było odważyć się na stanowcze działanie. Jadąc do Erfurtu, zatrzymał się monarcha rossyjski w Królewcu; lecz wszystkie usiłowania Steina, dla zyskania poparcia Rosyji w walce z Francją, okazały się daremnymi. Cesarz przyrzekł jedynie wyjednać swoim wpływem w Erfurcie jak można najszersze ustępstwa ze strony Napoleona.

Tymczasem niespodziewanie pojawił się w dziennikach list Steina, przejęty przez władze francuzkie, a odsłaniający tajne myśli śmiałego męża stanu. Liczni nieprzyjaciele ministra, tak w Berlinie jak i w Królewcu, pochwytili tę sposobność, by przestraszonemu królowi wykazać całe niebezpieczeństwo z utrzymania Steina na dotychczasowym stanowisku. Wtedy to król, bez zasięgnięcia rady

wielkiego ministra, podpisał fatalny traktat paryżki, nakładający na Prusy nieprzeliczone ciężary, ograniczający armią do 42,000 ludzi i nadający monarchii stanowisko lennego sprzymierzeńca Francji, obowiązane brać udział we wszystkich wojnach przez nią prowadzonych. Wobec tego Stein sam zażądał uwolnienia i otrzymał takowe, przy wyrażeniu wdzięczności gorącej za dotychczasowe usługi.

Energia królowej Ludwiki została złamaną pod temi ciosami. „Cierpię niewypowiedziane, pisała do pani von Berg, a słyszę jeszcze niejednokrotnie zarzuty przeciw sobie wymierzone. Cóż mogę na to odpowiedzieć? Płaczę i połykam łzy.“

Trosk tych nie rozproszyło świetne przyjęcie, jakiego doznała królewska para w Petersburgu, dokąd się udała na zaproszenie cesarza Aleksandra. Śród balów maskowych, na których znajdowało się po 16,000 osób, czuła się nieszczęśliwa Ludwika więcej może jeszcze przygnębioną, niż w cichej swjej rezydencji w Królewcu. Jeżeli zgodziła się na tę podróż, wbrew radom Steina, to jedynie w nadziei silniejszego zaciśnięcia węzłów, łączących Prusy z Rosją. „Jakem przybyła, pisać, takem i odjechała; nie mnie już nie zaślepia, bo moje królestwo nie jest z tego świata.“

Król otrzymał od cesarza Aleksandra radę cierpliwego znoszenia przez czas jakiś wszystkich wymagań francuzkich, dopóki stosowna pora nie pozwoli Rosyji wystąpić, dla położenia tamy samowoli Napoleona. Tymczasem wypadki utrudniały królowi wielce trzymanie się tej wyczekującej polityki. Austria wystąpiła do walki, a jednocześnie wybuchły ruchy ludowe w Tyrolu i Hessyi. Gorączkowe wrzenie ogarnęło umysły; nawet ministrowie mianowani po usunięciu Steina byli teraz za rozpoczęciem wojny, w związku z Austrią. Prusy już zawiesiły wypłatę kontrybucyi francuzkiej, armia gotowała się do boju; wyczekiwano tylko jakiego zwycięstwa Austriaków. Bitwa pod Aspern zdawała się zapowiadać zblednięcie gwiazdy Napoleona i gdyby nie ociążanie się króla, Prusy wzięłyby zaraz udział w walce—gdy wtém kłeska pod Wagram zwyciężyła wszelkie nadzieje. Zawieszenie broni pod Znajmem zawarte, położyło koniec wojnie, a wkrótce nastąpiło zawarcie pokoju i przymierza między Napoleonem a Austrią.

Z gorączkowym niepokojem śledziła królowa przebieg wypadków wojennych. Najwięcej dęczyła ją myśl, że Prusy mogą być zmuszone do przyjęcia udziału w walce przeciw Austrii. „Prusy przeciw Austrii! woła w jednym z listów, a cóż się wtedy stanie z Niemcami? Nie umiem wypowiedzieć swoich uczuć; pierś moja pęka z boleści. Boże! czyż mało jeszcze prób na nas zesłałeś?.. Dzień moich urodzin (w marcu 1809 r.) straszliwym był dla mnie. Uroczysty obiad w zamku, następnie świetny bal, wydany na moję cześć przez miasto, wszystko to mnie jeszcze smutniejszą uczyniło. Serce mi się rozdzięrało, a tu trzeba było tańczyć, uśmiechać się i grzeczności prawie gospodarzom balu. Nie wiedziałam dokąd uciec przed gnębiącym mnie smutkiem. Do kogóż Prusy za rok będą należały? Co się z nami stanie? Boże, wszechmoeny ojcze, zmiłuj się!“ W takim to nastroju ducha skreśliła Ludwika w lecie 1809 r. do swego ojca obszerny list, w którym odbiła się cała podniosłość jej ducha, wyrobionego w szkole nieszczęścia. Wypowiada tu ona swe zapatrywanie się na ówczesne położenie i przyszłość Europy. Uznając historyczne prawo bytu rewolucyi francuzkiej i Napoleonizmu, przewiduje jednak rychły upadek tego nowego porządku rzeczy; wierzy bowiem silnie w istnienie moralnej prawidłowości w dziejach świata i w ostateczny tryumf dobrego.

„Dla nas już wszystko skończone, powiada, jeżeli nie nazawsze, to nateraz przynajmniej. Za mego życia nie spodziewam się już niczego. Poddalam się woli niebios i w tém poddaniu znajduję spokój i szczęście nie ziemskie wprawdzie, ale co ważniejsza, duchowe. Pojmuję coraz jaśniej, że wszystko co zaszło musiało się odbyć w ten sposób. Opatrzność sprowadzi nieznacznie nowe położenie rzeczy na świecie. Stary porządek się przeżył i w skutek własnej strupieszności rozpada się w gruzy, ustępując miejsca nowemu. Myśmy się zdrzemnęli na laurach Fryderyka Wielkiego, twórcy potęgi Prus. Nie poszliśmy za prądem czasu, to też on prześcignął nas. Najlepsze, najstaranniej obmyślane plany nie udają się nam. Mimo usiłowań naszych żołnierzy, zwycięstwo zostaje przy nieprzyjacielu. Możemy od niego wiele się nauczyć i to co zdziałał w rozmaitych kierunkach nie będzie dla nas straconém. Jest on widocznie narzędziem Wszechmocnej ręki, dla pogrzebienia tego co się już przeżyło, a mimo swęj martwoty, ściśle dotąd złączone jest ze światem żyjącym.

„Z pewnością nastaną kiedyś lepsze czasy: upewnia nas o tém wiara w najdoskonalszą istotę. Dobrze jednak w świecie być może jedynie za sprawą dobrych. Dlatego nie wierzę bynajmniej, żeby cesarz Napoleon był silnym i bezpiecznym na świetnym swym tronie. Prawda i sprawiedliwość jedynie są silne i pewne, a on jest tylko politykiem mądrym i stosuje się w swych czynach nie do odwiecznych praw, lecz do chwilowych okoliczności. Można go podziwiać, ale nigdy kochać. Oslepiony swém szczęściem mniema, iż wszystko mu wolno. Nie ma pomiarkowania, niepomny iż ten kto się miary nie trzyma, traci rychno równowagę i pada. Co do mnie, wierzę silnie w Boga i w moralny porządek świata, z którym panowanie przemocy nie daje się pogodzić. Dlatego mam nadzieję, że po obecnem złem nastąpią lepsze czasy. Tego wyczekują i pragną wszyscy, których nie zaślepia świetność bieżącej chwili i jej bohatera. Niewątpliwie wszystko co się działo i dzieje teraz nie jest dobrém i doskonałym, lecz tylko utorowaniem drogi ku lepszemu. To lepsze jednak okazuje się nam w takim oddaleniu, że prawdopodobnie my nie będziemy patrzyli na jego osiągnięcie. Jak Bóg chce, tak się wszystko dzieje. W tej nadziei znajduję siłę, pociechę, odwagę i pogodę duszy. Przecież wszystko na tym świecie jest tylko przejściem! Uchylić się od tej drogi nie możemy. Winniśmy dbać tylko, by się z każdym dniem stawać dojrzałszymi i lepszymi.“ (1)

Drugą połowę tego obszernego listu poświęca Ludwika szczegółowej charakterystyce swych dzieci, dla których była najlepszą i najtroskliwszą matką. „Bardzo to dobrze dla naszych dzieci, powiada w końcu, że już za młodu poznały poważną stronę życia. Gdyby wyrosły wśród wygod i dostatków, nabyłyby przekonania, że inaczej nie może im być na świecie. Że jednak może być inaczej, to widzą one teraz po zamysłoném obliczu ojca, po cierpieniach i częstych łzach matki.“ Inną znowu razą, mówiąc o swych dzieciach, dodaje: „Jakkolwiek świat nie zaliczy mnie do rzędu sławnych kobiet, jednakże potomność, śledząc dzieje naszych czasów, dowie się może, com przeboleła i powi: „ona cierpiała wiele i wytrwała w cierpieniu.“ Pragnęłabym tylko, aby do tych słów dodać było można: „wychowała dzieci godne lepszych czasów, dzieci które dążyły do urze-

(1) List ten, i w ogóle zasady królowej Ludwiki, stanowią jedną z najważniejszych broni, jaką się obecnie posługuje w Prusach opozycja przeciw zewnętrznej i wewnętrznej polityce Bismarcka.

Opozycja w Rzymie za cesarów.

(Opozycja możnych.)

Przez Gastona Boissier.

I.

czywistnienia lepszych chwil i dopięły swego celu.“

Cierpienia moralne odbiły się jednak w fizycznym różstroju, który od 1809 r. coraz groźniej zaczął występować i wyczerpywać siły biędnej królowej. Z cierpieniami wzrastała jęj prawdziwie chrześcijańska religijność i gotowość do niesienia ulgi cierpiącym.

Jako troskliwa matka, zajmowała się gorliwie wychowaniem dzieci i młodzieży. Rozczytując się w pismach Pestalozzi'ego, takim się przejęła zapałem dla jego zasad, że zawezwała do Królewca dyrektora Zellera, jednego z uczniów wielkiego pedagoga, i z całą gorliwością wspierała jego filantropijne usiłowania. Wtedy to królewiecki dom przytułku dla sierot został przekształcony na wzorowy zakład wychowawczy, według Pestalozzi'ego. Królowa sama odwiedzała bardzo często szkoły, wglądając we wszystko, co miało związek z nauczaniem, nauczycielami i uczniami.

Moralno-religijne podniesienie ludu leżało szczególnie na sercu królowej. „Pozbyliśmy się religii i dlatego upadliśmy—“ powtarzała, ciesząc się z każdego pojawu rozbudzonego życia religijnego, w którym lud zaczerpnął nowych sił moralnych. Przedewszystkięd jednak krzątała się Ludwika około rozniecania ducha narodowego i miłości ojczyzny. Radością napelnia ją rozkaz królewski, nakazujący umieszczać po kościołach tablice z nazwiskami zasłużonych krajowi żołnierzy. Uwielbieniem przejmując ją mężny i pobożny Andrzej Hofer, dowódca powstania tyrolskiego, i energia zaciętych Hiszpanów. Patryotyczne tragedye Schillera dodają jęj radosnej otuchy. „Ciągłe się nanowo rozczytuję w moim Schillerze. Czemuż to on nie chciał się wcześniej przenieść do Berlina i czemuż zeszedł z tego świata? Czyżby śpięwak Tella miał ulegnąć podobnemu zaślepieniu, co historyk związku szwajcarskiego? (1). Nie, przynigdy! „Niegodnym jest naród, który wszystkiego nie poświęca dla swego honoru...“ Czyż słowa te mogą zawodzić? I dlaczegoż on umarł? Chyba Bóg w tych okropnych czasach zabierał tych, których kochał najwięcej.“

Zdawna upragniony powrót do Berlina nastąpił wreszcie w grudniu 1809 r. Dnia 23 grudnia odprawiła para królewska uroczysty wjazd do stolicy, na który królowa otrzymała od miasta w darze okazały powóz. Ludność z zapałem witała swą ukochaną Ludwikę. Uczucia te jeszcze silniej objawiły się podczas obchodu urodzin królowej, upamiętnionego przesłicznym więrszem Kleista. Tysięczne oznaki czci i uwielbienia nie mogły jednak uwolnić duszy królowej od trosk, jakie sprowadzało ogólne położenie rzeczy w Europie. Po ukończeniu wojny z Austryą, Napoleon, rozjątrzony dwuznacznęd postępowaniem Prus i nie potrzebując już zachowywać względów na Rossyę, z powodu oziębienia się z nią stosunków, zaczął wspominać o ustąpieniu Szlązka, wzajemian za niedopłaconą resztę kontrybucyi, i los Burbonów hiszpańskich ciągle stał królowej przed oczami.

Delikatny, nerwowy organizm Ludwiki nie mógł znosić nadługo tyłu wzruszeń i ciągłego niepokoju. Silna gorączka i cierpienia piersiowe przybrały groźny charakter na wiosnę 1810 r. Korzystając z chwilowego polepszenia, królowa wybrała się w odwiedźiny do swego ojca w Strelitz mieszkającego, gdzie zapadłszy ponownie, po kilkotygodniowych cierpieniach zakończyła życie w dniu 19 lipca. Obok serdecznego żalu, zgon jęj obudził tęd większą w całych Niemczech nieawisę ku nieprzyjacielowi, który moralnemi udręczeniami głównie się przyczynił do śmierci ubóstwianęj królowej. „Pomszczoną jest Ludwika“ rzekł Blücher, gdy w 1814 roku z wyżyny Montmartre patrzył na stolicę Francyi, a Körner, budząc wojenny zapał swych współziomków, wołał: „Twa postać niech powięwa z naszych sztandarów i świeci nam jak gwiazda wiodąca do zwycięstwa!“

W pierwszych czasach cesarstwa jeden tylko Rzym mieścił w swoich murach malkontentów, ale tęd zato byli oni tam liczni i groźni. Chcąc powziąć wyobrażenie o tęd, czego oni chcieli, co potępiali, jakim sposobem i w jakiej formie objawiali swoje skargi i życzenia, trzeba sobie przedewszystkięd przypomnieć, jakiej natury była władza cesarska, a charakter tęd władzy ułatwi nam zrozumienie charakteru, jaki przybrała opozycja.

Nie tak to łatwo, jakby się może komu zdawało, zdefiniować dokładnie, co właściwie nazywano *cezaryzmem*. Jest-to wyraz bardzo upowszechniony, słyszęd go można co chwila w naszych walkach politycznych, nie sądząc jednak aby wogóle trafne miano pojęcie jego znaczenia. Zwykle wyobrażamy sobie *cezaryzm* jako pewien rodzaj despotyzmu demokratycznego, to jest jako jeden z owych rządów despotycznych, sprawowanych w imieniu ludu przez człowieka, który mieni się być tego ludu przedstawicielem i wybrańcem. Definicja ta w części tylko jest dobrą. Cezar był bezwątpienia ulubieńcem i obrońcą demokracji rzymskiej; pragnął on uchodzić za następcę Grachów, a gdy potrzebował pozoru do najechania Włoch, mawiał: „Idę uwolnić lud rzymski od uciśkającej go fakeyi.“ Gdyby był miał czas na ustalenie formy rządu, byłby go prawdopodobnie oparł na głosowaniu powszechnęd i sympatyi ludu; ale zręcznie jego siostrzeniec, który był rzeczywistym założycielem cesarstwa, inny przyjął system. Nakłaniał on się raczej do arystokracji i chciał uchodzić za kontynuatora jęj polityki. Obsypywał ją względami i łaskami. Zjednanie sobie możnego pana, który się trzymał na boku, poczytywał za wielkie zwycięztwo, i widziano go jednego dnia, jak błagał Pisona, aby przyjął konsulat który mu ofiarował. Starał się o to, aby się wydawało, że on rządzi jedynie przez senat i dla senatu; sam chciał być tylko pierwszym (*princeps*) pomiędzy senatorami, a tytuł ten, który mu dawano, wskazuje charakter, jaki pragnął nadać swojej władzy. Następcą jego Tyberyusz był arystokratą z rodu i z usposobienia, ostatni z Appiuszów Klaudyuszów, w którym odżyła cała duma tego zuchwałego rodu. Ludem się brzydził; nie zadawał sobie nawet pracy żeby go bawić, jak to robił August i bardzo zaniedbywał igrzyska publiczne. Te tłumy, korzące się przed jego obliczem po wszystkich drogach, gdziekolwiek ruszył się po całej Italii, przejmowały go wstrętem, i osobnym edyktem nakazał mieszkańcom miast, ażeby nie wychodzili z domów, podczas jego przejazdu. Za niego kończy się wszelki udział ludu w rządzie; mimo nadzwyczajnej jego uległości, pozbawiono go prawa mianowania urzędników magistratualnych, a oddano je senatowi. Następni cesarze po wstąpieniu na tron nie żądają już od niego pewnego rodzaju potwierdzenia swęj władzy, którego z pewnością nie byłby im odmówił, i odtąd wybranemu przemocą lub zdradą, senat tylko udziela pozorów inwestytury.

Nie można więc właściwie mówić, że cesarze rządili w imieniu ludu, i *cezaryzm* nie można, jak się to zwykle dzieje, mienić tyranją demokratyczną. Był-to raczej rząd monarchiczny, który się krył pod formami republikańskimi. Mieszanie tych dwóch tak różnych zasad wymyślił August, i tak był dumnym ze swego dzieła, iż postarał się o to, aby nas uwiadomić kiedy i w jakiej chwili rząd ten został zaprowadzony: „Za czasów mego szóstego i siódmego konsulatu, — są słowa jego—gdy się skończyły wojny domowe, zrzekłem się władzy, którą wszyscy obywatele zgodnie mi powierzyli, i złożyłem rzeczpospolitą w ręce ludu i senatu.“ (*Monum. Ancyrr.* 34). Nie bierzmy jednak tych wyrazów w literalnęd znaczeniu. Rząd zaprowadzony w r. 726 od założenia Rzymu, nie był dawnym rządem, obalonym przez Cezara i Oktawiusza, ale blichtrzem jego tylko.

August jednak chciał przynajmniej, żeby blichtr ten szanowano. Nie żądał już potęd dla siebie żadnej władzy nadzwyczajnej; odmawiał statecznie dyktatury i nieustającego konsulatu i zgromił lud za to, że raz w teatrze nadał mu nazwę „pana.“ Był on, co prawda, panem, nie nosząc tęd nazwy, a owe tytuły których przyjąc nie chciał, byłyby w niczęd nie powiększyły władzy jaką posiadał. Chociaż na pozór nic się nie zmieniło, nie przecież nie pozostało takim jak dawniej. Utrzymawszy dawne urzędy, *princeps* pozostawił przy nich zaledwie cień dawnęj władzy, władzę zaś samę sobie przysądził. Byli jeszcze trybunowie ludu, ale władzę trybuńską *princeps* sprawował. Senat mianował gubernatorów dla prowincyj jego władzy podległych; ale August miał sobie przyznaną władzę prokonsularną na całe państwo, i na jęj podstawie czuwał nad mandataryuszami senatu, jakby nad swoimi własnymi. Zbierał wojska i dowodził niemi, stanowił o wojnie i pokoju; uwolniony był od posłuszeństwa prawom, które w częmkolwiek wadziły jego władzy wyjątkowej, a wreszcie posiadał „prawo czynienia, w rzeczach zarówno publicznych jak prywatnych, świeckich i religijnych, wszystkiego tego, co uważał za pożyteczne dla interesów państwa.“

W taki-to sposób August „oddal rzeczpospolitą w ręce senatu i ludu.“ Tylko pochlebcy i głupcy mogli się dać oszukać pozorom i twierdzić, że wskrzesił rząd dawny. Inni wiedzieli dobrze, jaką nazwę dać temu nowemu rządowi, i mówili wraz z Tacytem, że państwo, mimo form republikańskich, w gruncie rzeczy było monarchią.

Nie była to koniecznie monarchia absolutna, choć mogła się nią stać z łatwością i stawała się tęd nieraz; w zasadzie atoli nie powinna była nią być. Jest-to opinia Tacyta i najlepszych głów ówczesnych. „Nie należy mieszać, — powiada Plinius—*principatu z despotyzmem*.“ Dzisiaj trudno nam je przychodzi rozróżnić, a państwo rzymskie wydaje nam się jednym z najdoskonalszych typów rządu despotycznego. Nie pojmujemy tylko że ci, którzy widzieli go zblizka i którzy znosić go musieli, inne o nim niż my mieli zdanie. Niezmiernie nam się dziwnęd wydaje, że Tacyt kładzie w usta Galbie, już po Tyberyuszu i Neronie, te wyrazy: „Rzymianie nie mogą znosić ani zupełnej wolności, ani zupełnej niewoli.“ Niemniej zdziwieni jesteśmy słysząc, jak Dio Cassius mówi, że z przykrością widziano Kaligulę uczęszczającego do małych despotów wschodnich, bawiących na ówczas w Rzymie, „gdyż obawiano się, aby się od nich nie nauczył być tyranem.“ Czyż potrzebował się tego uczyć? Czyż aby się stać tyranem, niedość mu było naśladować przykład Tyberyusza? Ale Rzymianie przez tyranją, a niekiedy nawet przez monarchją rozumieili rząd, dla którego jedynęd prawem jest kaprys pana, pod którym wszystkie zbrodnie stają się nietylko możebnemi, ale dozwolonemi, gdy pan tak chce, w których panujący zwykli „niszczyć miasta, mordować swoich braci, swoje żony i swoich krewnych.“ Rzym znał naturalnie te zbrodnie, bo cesarze nieraz zносили ich pozwalali, a państwo je cierpiało; ale cierpiąc, potępiano je, raziły one opinią publiczną, która je wyklinała poćichu, czekając na możność napiętnowania ich głośno. Tylko pełną rezygnacyi niewolę pewnych ludów wschodnich, oddanych w moc despotów fantastycznych, którzy mogli sobie pozwalać co tylko chcieli, nie napotyając na opór i nie budząc nawet szemrania, nazywał Tacyt „niewolą zupełną“ i nie zdawało mu się, żeby Rzym upadł kiedykolwiek tak nisko. Tak więc poza tyranją cesarów, niekiedy tak ciężką, Rzymianie widzieli inną, cięższą jeszcze i sroższą, pod którą nie było ani praw, ani opinii, pod którą gwałty uważano za stan zwyczajny i normalny. Ta okoliczność czyniła ich mniej surowymi dla rządu, pod którym mieli nieszczęście zostawać, i to również tłumaczy, dlaczego, kiedy my rząd ten bez wahania zaliczamy do despotycznych, oni skłaniaли się raczej do uważania go za rząd wolny, albo w najgorszym razie za monarchją umiarkowaną.

Rzecz niezawodna, że mógł on nią być wistocie. Wobec panującego było tam dosyć sił żywotnych,

(1) Jan Müller, który porzucił służbę pruską, by hołdować gwieździe Napoleona.

aby go zmusić do pewnej powściągliwości. Ci urzędnicy, których on nie mianował, a którzy pomagali mu w rządzeniu państwem, ten senat, którego władza starszą była od jego władzy, ta opinia publiczna, baczną a szyderczą, te tradycje, te zwyczaje, te wspomnienia świetnej przeszłości, które nakazywały poszanowanie samą starożytnością swoją, mogły służyć za granice i za hamulec jego władzy i powściągać jej nadużycia. Na nieszczęście granice te nie miały w sobie nic stałego. O ile reformy administracyjne Augusta były jasnymi i stanowczymi, o tyle jego innowacje polityczne nieokreślone pozostały. Cesarstwo wśliznęło się pewnego dnia w republikę, jak dowcipnie powiedział Seneka; ale lokując się w niej, nie było na tyle oględne, żeby powiedzieć, co zamierza zatrzymać dla siebie, a co chce pozostawić dawnym właścicielom. Stare magistratury, które pozostawiono, nie wiedziały jak daleko sięga ich kompetencja. Władza cesarza, jeżeli nie była nieograniczoną, była przynajmniej słabo ograniczoną. Ztąd poszło całe złe. August sam utrzymuje (w *Monum. Ancyr.*), że nie posiada więcej władzy od innych urzędników i przypisuje sobie tylko nad nimi pewien rodzaj powagi czyli wpływu moralnego (*dignitas*). Napozór było to mało, lecz w rzeczywistości było to wszystko. Ta władza źle określona i niepewna, stając się potężniejszą przez samą niejasność swoją, paraliżowała rękę. Senat, który ją czuł zawsze ponad sobą, nie śmiał nic począć, albo począł sobie dorywco, gdy przypadkiem jakiś głos śmielszy otrząsnął go ze zwykłego serwilizmu.

Panujący sami nie byli też wolni od obaw, które wzniecali w drugich: zmuszeni, aby pozostać wiernymi swemu systemowi, zachowywać pozory wolności, lękali się zawsze, aby pozorów tych nie wzięto za prawdę. Widać że nie mieli tej spokojnej pewności siebie, jaką daje monarsze poczucie swych prawd w państwie dobrze uorganizowanym. Te przerzucania się od gwałtów do obłudy, które spostrzegać się dają w ich postępowaniu, zdradzają władzę która sama sobie nie ufa i granic swoich nie zna dokładnie. Neron miał słusność twierdząc, że poprzednicy jego nie wiedzieli dobrze co im czynić wolno. Tak to poddani i pan, będąc wzajemnym przedmiotem postrachu, żyli ze sobą w stanie nieufności i obopólnej trwogi. Ztąd poszły nieszczęścia, które przez tyle wieków Rzym nawiedzały. Ta władza najwyższa, która nie była pewną sama siebie i która lękała się wszystkiego, musiała koniecznie stać się okrutną, gdyż nie tak nie czyni srogim, jak trwoga. Można więc z Bossuetem powiedzieć o tym rządzie, że miał on właściwości, które wydają złych panujących i że jest rzeczą naturalną, iż on ich wydał więcej, niż którykolwiek inny.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Instynkt i inteligencja zwierząt,

przez M. N. Joly.

I.

Od Arystotelesa do Descartes'a i Buffona, a od Buffona aż do naszych czasów, legion cały badaczy, filozofów i przyrodników zajmował się kwestją *instynktu i inteligencji zwierząt*. Jedni, jak Descartes i Malebranche, zniżali zwierzęta do rzędu maszyn, nieczułych automatów. Inni, jak Buffon, przyznawali im możność odbierania *wrażeń*, w pewnym stopniu *pamięć*, a nawet *uczucie*; ale zarazem tłumaczyli wszelkie czynności zwierząt za pomocą mechanicznych wstrząśnięć mózgu, mogących przez pewien przeciąg czasu trwać i odnawiać się w tym organie. Był to więc *automatyzm zmodyfikowany*.

Z biegiem czasu, jak łatwo się domyślić, zrodziła się przeciw tym poglądom reakcja, lecz zrazu nieśmiała i pokryta maską pseudonimu. Listy „O inteligencji i zdolności udoskonalania się zwierząt,“ wydane w połowie zeszłego wieku

przez „fizyka z Norymbergi“ (był nim Jerzy Leroy, intendent ogrodów w Wersalu i Marly) wzbudziły żywe zajęcie w publiczności. Buffon otrzymał egzemplarz tego dzieła, lecz przeczytawszy je, napisał pamiętną odpowiedź, będącą smutnym świadectwem nietolerancji cywilnej i religijnej owych czasów: „Wielka to różnica—słowa są Buffona—kazać zwierzętom mówić w Norymberdze, lub w Paryżu.“

Leroy nie tylko nie poczytywał zwierzętom za automaty, ale mniemał, że ich instynkt sięga do wyżyn inteligencji i jedną całość z nią składa. W ten sam błąd popadli Réaumur i Dupont (z Nemours), a mistrzowskie prace obu Cuvierów pogląd ten sprostowały. Następnie Dureau de la Malle, w Instytucie francuskim, bronił autonomii intelektualnej zwierząt. Flourens i profesor Fée ze Strasburga wydali również dziełka w tym przedmiocie. Jouffroy i Karol Lévêque oświadczyli się stanowczo za istnieniem pierwiastku niematerialnego, który u naszych *niższych braci*, jak mówi Michelet, równie jak u nas, rządzi czynnościami umysłowymi. Był to przykład godny naśladowania, za którym jednakże nie poszedł pan Henryk Joly, autor dzieła: „Instynkt, jego stosunek do życia i inteligencji.“ Zdaniem tego badacza, zwierzę nie posiada wcale inteligencji, tylko *instynkt*, a właściwie różne instynkta, *wrodzone* lub *nabyte*. Zgadza się na to, jak również na zdanie następnego tegoż autora: „Instynkt u zwierząt nie jest następstwem przyzwyczajenia.“

Wprost przeciwnie mniemali w wieku przeszłym Condillac i Lamarek, a obecnie Darwin i jego adepci: wedle nich, instynkt jest tylko *długoletnim przyzwyczajeniem, przechodzącym dziedzicznie z pokolenia na pokolenie*. Co do inteligencji ludzkiej, ich zdaniem, ma ona źródło w inteligencji zwierzęcej, spotęgowanej powoli i stopniowo przez wybór naturalny i płciowy (*Natural and sexual selection*).

Oto jest, w możliwym streszczeniu, przebieg historyczny poglądów na przyrodę zwierząt.

Z kolei i ja przystępuję do tego przedmiotu, nie nowego wprawdzie, ale przedstawiającego trudności niemałe; nikt bowiem nie zaprzeczy, że *psychologia porównawcza* nie stała się po dziś dzień nauką, rzeczywiście godną tej nazwy. Dzięki jednak znamienitym pracom filozofów i fizjologów angielskich, francuskich i niemieckich, światło wiedzy rozszerza się stopniowo i możemy spodziewać się, że w niedalekiej może przyszłości uzyskamy wyjaśnienie wielu kwestyj dotyczących *fizjologii umysłu*, które obecnie głęboka jeszcze ciemność otacza.

Powiedzmy nadto, że do ostatnich czasów uprzedzano się przeciw psychologii porównawczej i że te uprzedzenia były po części usprawiedliwione, z powodu błędów w jakie popadli niektórzy autorowie, zkadinał znakomici, usiłując rozwiązać stanowczo kwestję inteligencji zwierząt. Co do mnie, bynajmniej nie mam zamiaru posunąć się tak daleko: pragnę tylko zdać sobie sprawę, bez uprzedzeń i przesądów, na podstawie logiki, jakie jest źródło czynności zwierzęcych, tak podobnych a niekiedy i identycznych z temi, które my sami wykonywamy, témbardziej, że czynności owe były w najrozmaitszy sposób tłumaczone przez filozofów i przyrodników, począwszy od najodleglejszej starożytności, aż do naszych czasów. Zbyt trudną byłoby rzeczą skreślić obraz dokładny tytu, a tak nieraz sprzecznych systematów. Ograniczę się zatem na streszczeniu pojęć Arystotelesa, Descartes'a, Malebranche'a, i Buffona, dotyczących tego przedmiotu, a następnie przejdę w krótkości poglądy autorów współczesnych, zajmujących pierwszorzędne stanowiska na polu wiedzy. Dążyć będę do rozwikłania prawdy z więzów błędu, a opierając się na troskliwym badaniu faktów, postaram się udowodnić, że władze umysłowe zwierząt dają się do pewnego stopnia porównywać z naszymi, że są tej samej natury, lecz zakres ich działalności zamyka się w daleko ciśniejszych granicach.

W *traktacie o ruchu zwierząt*, Arystoteles wyraża zdanie następujące:

„Całe ciało zwierzęcia, wraz ze wszystkimi członkami, jest to jakby miasto, którym dobre prawa rządzą; skoro porządek raz zaprowadzony tam zostanie, rząd nie potrzebuje już ostrzegać każdego z osobna obywatela, co mu czynić należy, ponieważ każdy gotów jest spełnić przypadające nań obowiązki; jedna czynność następuje po drugiej sama z siebie, przez przyzwyczajenie.“

Arystoteles przeto oświadcza się za automatyzmem, prawie zupełnym, zwierząt. Nie odmawia im wprawdzie duszy, ale miejsce jej w sercu oznacza i mniema, że jest ona tej samej natury co ogień, a więc wcale różna od duszy człowieka, który sam tylko ze wszystkich istot żyjących posiada władzę myślenia. Wszędzie, mówiąc o duszy ludzkiej, dodaje, iż jest „początku Boskiego,“ a duszy zwierzęcej przyznaje tylko „naturę ognia.“ Zauważyć przytém należy dziwną sprzeczność: Arystoteles przyznaje swoim automatom *władzę pamięci*, która, wedle niego, jest tylko obrazem, wyciśniętym na materji cielesnej w tém miejscu, gdzie mieści się zmysł ogólny, mniej więcej w taki sposób, jak pieczęć wyciska rysunek na laku. (*).

Automatyzm zwierząt, podług Arystotelesa, ogranicza się zatem do ruchów wszelkich, wewnętrznych lub zewnętrznych; Arystoteles przyznaje bowiem zwierzętom *pamięć*, twierdzi iż zdolne są pod pewnym względem do doskonalenia się; a zatem automaty Arystotelesa nie są automatami, we właściwym znaczeniu tego wyrazu.

Te wyobrażenia długo rządziły samowładnie w szkołach francuskich, a Descartes i Malebranche posunęli się jeszcze dalej w tym kierunku. Oto na przykład co mówi Malebranche: „Psy, koty i inne zwierzęta nie posiadają ani inteligencji, ani duszy niematerialnej, w pospolitem znaczeniu tego słowa. Jedzą bez uczucia zadowolenia, jęczą nie doznając bólu, niczego nie pragną, o niczem nie wiedzą, a jeśli działają zręcznie i w sposób znamionujący pojętność, to dlatego, że Bóg, stworzywszy je w celu zachowania ich rodzaju, zbudował ich ciało w taki sposób, iż z natury swój, bezwiednie, unikają wszystkiego coby im szkodzić mogło.“

Tak wyrażał się Malebranche, żarliwy adept poglądów Descartes'a i fanatyczny wielbiciel jego geniuszu. Sam zaś Descartes tłumaczył wszystkie czynności, wszystkie ruchy zwierząt zapomocą układu stosownego ich organów, tudzież za pośrednictwem *wyzieńców*, gazów lub płynów subtelnych, które tworzyły się w sercu, gromadziły się w mózgu, przenikały pory tego organu i ztamtąd dążyły do nerwów, a te przenosiły je do mięśni, powodując tym sposobem kurczenie się tychże. Mięśnie zaś, nabrzmiałe *wyzieńcami odbitymi* (powrotnymi), nadawały wszystkim częściom ciała właściwe im ruchy. Pomimo zasadniczego błędu, na którym opiera się cały ten systemat *bezwzględniego automatyzmu*, Descartes jednakże posiada tę niemałą zasługę, iż w kwestyi ruchów odbitych (odruchów) (**) był poprzednikiem takich badaczy, jak Legallois, Marshall-Hall i Prochazka, a jeden z najpiękniejszych przyrodników angielskich, Huxley, powiada iż Descartes godzien jest stanąć w rzędzie fizjologów, zasługujących na zaszczytne miejsce obok Harveya, który uniesmiertelniał swoje imię odkryciem krążenia krwi u ludzi i zwierząt.

Rzecz to zaprawdę szczególna, że pojęcia Descartes'a, które zdawały się być przeznaczone na zapomnienie, dziś znajdują wymownych obrońców; uznano, że wiele ruchów, nawet u człowieka, których źródło przypisywano inteligencji i woli, zaliczyć należy do ruchów bezwiednych, automatycznych. Carpenter na faktach dowodzi istnienia trzech głównych centrów czynności odruchowych.

(Dalszy ciąg nastąpi).

(*) De anima, rodz. I.

(**) Ruchami odbitymi, czyli odruchami, zowią się poruszenia, dokonywane w skutek podrażnienia nerwów uczucia, przeniesionego następnie, czyli odbitego na nerwy ruchu; do takich odruchów zaliczamy kaszel, kichanie i t. p.